Nr. 51. Warszawa, dnia 9 (22) Grudnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Telegram ministra Dworu Cesarskiego.

Podczas przebytej przez Jego Cesarską Mość Najjaśniejszego Pana choroby nieustannie nadchodziły zarówno bezpośrednio na Najwyższe Ich Cesarskich Mości Imię, jako też za pośrednictwem ministrów Dworu Cesarskiego i spraw wewnętrznych, od różnych stanów, instytucyj i towarzystw w Państwie, jako też od osób pojedynczych, liczne oświadczenia wiernopoddańczej miłości i uczuć. Niezależnie od tego, ludność wszystkich wyznań wszędzie wznosiła powszechne modły o jaknajprędsze wyzdrowienie Jego Cesarskiej Mości.

Po podaniu o tem do wiadomości Jego Cesarskiej Mości, Najjaśniejszy Pan Najmiłościwiej rozkazać raczył: **wyrazić wszystkim stanom i towarzystwom w Państwie serdeczną wdzięczność za wyrażone uczucia.**

Minister Dworu Cesarskiego generał-adjutant *baron Frederiks.*

Liwadya, 13 grudnia 1900 r.

(*Goniec Urzędowy*).

Od Redakcyi.

Przyszłoroczny dodatek kwartalny poświęcimy

Wiekowi XIX.

Będzie to ogólny obraz najważniejszych zdarzeń, dzieł i zdobyczy kończącego się stulecia w rozmaitych dziedzinach jego życia, pracy i twórczości.

*Niemożność dostarczenia spóźnionym abonentom wyczerpanych numerów **Prawdy** na początku tego roku każe nam ze szczególnym naciskiem ponowić prośbę o wczesne nadsyłanie przedpłaty, gdyż wtedy tylko możemy zadośćuczynić wszelkim żądaniom.*

POLITYKA.

ISKRY W POPIELE.

Człowiek jest dla człowieka ustawiczną zagadką, a życie — wiecznem równaniem z niewiadomemi, których bez drugiego równiania, układanego przez wiarę w idealne siły człowieczeństwa, rozwiązać niepodobna. To, co nas teraz dochodzi z Transwalu, w zupełności spostrzeżenie powyższe potwierdza. Po zajęciu Pretoryi i Johannesburga, po wdarciu się Anglików do Lydenburga największy optymizm nie mógł przewidzieć nic innego, jak tylko z jednej strony zwycięzki pościg angielski, z drugiej całe pasmo klęsk ostatecznych, łamiących opór, który znowu sam mógł być tylko zużyciem pozostałej jeszcze w żyłach Boerów bojowej energii, mechanicznym tylko, a coraz słabszym biegiem wskutek dawniej nabytego rozpędu. Coraz większe rozbicie, na coraz drobniejsze i coraz mniej woli, męztwa i środków posiadające oddziały, niemożność ponownego organizowania się, skupiania i nacierania na wrogów większemi masami z zamiarem i skutkiem zwycięztwa — to były jedyne wypadkowe logicznego wysilenia najlepszych przyjaciół Transwalczyków i stojącego za nimi prawa. Psyche ludzka i tę logikę i tę jej pracę i pracy tej ostateczny wynik na proch starła. Zgnieceni nanowo się podnoszą, ścigani przystają, odwracają się i pierwsi napadają na ścigających, a ten Bóg, który miał kule nosić, a właściwie podnosi tylko ludzkie serca — daje im nawet zwycięztwa.

Jedno z takich zwycięztw niespodziewanych, jakby cudownych, odnieśli we czwartek d. 13 b. m. w Magalies Berge na północ od Witwatersrand, o siedem mil od Pretoryi na zachód, pod wodzą De Wetta, to zaś ich zwycięztwo jest prawdziwą hańbą dla Anglików. Mniejsza o zabitych i rannych: całe cztery kompanie Northumberlandczyków dostały się do niewoli — a już na samo dno upokorzenia spycha dumę angielską wypuszczenie z liczby 555 jeńców 310 żołnierzy i 5 oficerów, którzy wszyscy buntownikom przysiądz musieli, że przeciw nim walczyć nie będą, bez takiej przysięgi bowiem wolnymi by nie byli. Anglikami dowodził cały generał dywizyi Clements. Siły w boju musiały być co najmniej równe, a przewaga, która zgotowała wrogowi hańbę, była już czynem bojowej dzielności Boerów: celem strategii, wielkiej czy małej, jest zaskoczenie większemi siłami mniejszych. Sam zamysł rozprawy z d. 13 b. m. przedstawia się jak bohaterstwo. Boerowie postanowili zdobyć wzgórza obsadzone przez Anglików; jednocześnie natarli na obóz w dole. Wzgórza opanowali i z nich to właśnie zebrali plon northumberlandzki. Clements z obozem swoim ledwo umknął, dając na pastwę swe tyły. Nazywa się to odwrotem dokonanym w porządku.

Właśnie parlament angielski kończył swą czynność wydobywania pieniędzy z kieszeni narodu na wojnę transwalską, kiedy nadbiegła wieść hiobowa. Ministrowie, z pomocą Kitchenera, następcy Robertsa, złagodzili wrażenie retuszem klam-

stwa. Ostatni dzień obrad, sobota, upłynął bez szermierki, zawsze niewygodnej, nawet gdy się nepotyzm, tak jak teraz, zamienił niemal w zasadę, rządzącą obsadzaniem różnych stanowisk, opanowanych przez parlamentarną większość. Zresztą ministrowie mieli już pieniądze, o resztę nie wiele dbali. Było trochę krytyk i podjazdów; ale do rezolucyi żadnej przyjść już nie mogło. Wszakże o tyle przynajmniej przyzwoitymi byli ludzie, przy korbie rządowej stojący, że zamiast, samochwalstwa zamykającego posiedzenia, dali kilka zdań bezdusznych. To całe ich sumienie, cała etyka. Rządzi nią poczucie siły fizycznej i pomimo wysłania już 270,000 żołnierza przeciwko 600,000 całego społeczeństwa boerskiego, wiara w zasobność i niewyczerpane jeszcze źródło militarnej i ekonomicznej potęgi. Ostateczne powalenie tak słabego, samą nawet masą swoją, przeciwnika musi być dla nich i jest niezawodnym pewnikiem. Musi też być pewnikiem i dla trzecich, zdala patrzących i czujących. Ale ten pewnik wzmacniać tylko może ową idealną wiarę, która w wypadkach powodzenia wypromienia się jako duchowa radość.

Może to tylko iskry w popiele, może Boerowie wolność ostatecznie utracą, może już nieodwołalnie los ich na to skazał, jeśli żywa psychotechnika ludzka nie zabłyśnie postanowieniem pomocy, na które dziś wcale się nie zanosi. Cóż z tego? — upadną, ale w dziejowem pięknie, z urokiem wielkości najwyższej ze wszystkich, bo tej, która mówić nakazuje o wielkich już duszach. Ich śmierć pozostawi świetną kartę w dziejach świata — tak, jak gdyby byli narodem wielkim a żywym. Żyć też będą w pamięci ludzkiej — w tej wolterowskiej nieśmiertelności nad wszelkie inne pewniejszej. A skutki tej walki, dla nich samych straszne, dla Europy, dla świata dyplomatycznego, dla powszechnego uczucia i wiedzy dziś już zdobyte i niecofnione — będą jak gdyby pośmiertnym ich tryumfem. Anglia dotychczasowa pod względem wojskowości w wielkiem swem ciele musi też mieć i wielką muskularną siłę; ale jak olbrzym niewyćwiczony, niezdarny, nie umiała tej siły zorganizować tak, aby jej nie marnować i nie rozpraszać. Tę jej niesprawność, sprowadzającą wyczerpanie przed czasem, będzie umiała wyzyskać polityka, której celem nie jest ani obrona, ani całość Anglii. Albion albo się zamieni w państwo militarne, jeśli może, albo znajdzie się w położeniu takiem samem, w jakie wtłoczył Boerów. I to będzie pomsta dziejowa nad nim.

Tydzień polityczny. *Goniec urzędowy* ogłasza komunikat, odpierający głosy prasy angielskiej o zajęciu kolei od Jangtsunu do Szan-hai-kuanu. Kolej tę powierzył hr. Waldersee wojskom cesarsko-rosyjskim i hr. Walderseemu też zwróconą będzie dla dalszego postanowienia o niej.

Donoszą z Chin o wrzekomem przyjęciu przez cesarza następujących 10 warunków pokoju: 1) kosztów 700 mil. taelów (ok. 5 miliardów franków). 2) Kettelerowi pomnik w Pekinie. 3) Krewny cesarza posłem w Berlinie. 4) Straż europejska od Taku do Pekinu. 5) Ukaranie urzędników wyznania bokserskiego. 6) Pozbawienie podejrzanych prawa do egzaminów. 7) Zniesienie Tsung-li-jamenu. 8) Ułatwienie posłom dostępu do cesarza. 9) Zakaz przywozu broni i amunicyi. 10) Forty od Szan-hai-kuanu do Taku i z Taku do Pekinu zburzone.—Wiemy przynajmniej, jakie jest *menu* Europy.

Wybory z kuryi piątej w Galicyi d. 13 b. m. dały zwycięztwo ludowcom walczącym z Żydami i Stojałowskiemu, czyli antisemityzmowi antichrześciańskiemu w imię chrześciaństwa. Dotychczas jest już z tego stronnictwa trzech wybranych: Fijak, Bomba i Wilk. Stronnictwo ludowe dało się już pobić komitetowi centralnemu, tracąc dwa mandaty, a antisemityzm dokona jego rozkładu. Głosy socyalistyczne w połowie prawie przeniosły się na antisemitów. D. 17 b. m. odbywały się wybory w kuryi czwartej, gmin wiejskich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 15 grudnia.

Jeżeli w życiu prywatnem ludzie często zapominają o nakazach mądrości praktycznej, to za to tem ściślej przestrzegają je w polityce, gdzie konwenanse, zawiść ludzka i plotki dają się jeszcze silniej we znaki. Tu harmonia serc, przyjaźń i miłość muszą kryć się w dyskretnym zmroku dyplomatycznej obłudy, dopóki nie wywloką ich na światło dzienne kumoszki świata politycznego. Takiem rozgłoszeniem pilnie ukrywanego związku miłosnego jest sprawa t. zw. funduszu agitacyjnego, rzucająca światło podejrzane na stosunek ministeryów niemieckich do świata przedsiębiorców. Niemieccy przemysłowcy oddawna dążyli do zagarnięcia zarówno korby, jak hamulca maszyny państwowej. Gdy cesarz niemiecki w 1890 r. wydał swe słynne rozporządzenia, których sens streszcza się w haśle sprawiedliwości społecznej *suum cuique*, baronowie kominowi wszczęli krzyk nie do opisania. Dla nich bowiem nie istnieją ani chłopi, ani rzemieślnicy, ani robotnicy — wszystkie drogi państwa prowadzą do jednego Rzymu, do kantoru i kasy fabryki. Zwłaszcza byli feodałom fabrycznym solą w oku minister Berlepsch i jego sekretarz Rotenburg, dwaj mężowie stanu, kroczący drogami, wytkniętemi przez Carlyle'a, Rodbertusa i Wawrzyńca Steina. Wielcy przemysłowcy, rozporządzający olbrzymim sztabem dziennikarskim, prowadzili stale kampanią przeciwko „sportowi społecznemu,“ jak nazywali reakcyoniści przemysłowi wszelką politykę reform społecznych. Ich organizacya słynny „związek przemysłowców niemieckich,“ jawnemi i tajnemi knowaniami usiłował krzyżować, udaremniać i ośmieszać prądy humanitarne. Nadaremnie Berlepsch zapraszał na swe polowania sekretarza „związku,“ a nawet obdarzył go or-

---

Michał Mutermilch.

MARYNIA.*)

Godzinę później Marynia była już na służbie. Dostała kącik naprzeciw pokoju pani z oknem, wychodzącem na podwórze. Miała żelazne łóżko, stolik i krzesło. Kuferek umieściła pod oknem. Przebrała się i wyszła do pani.

— Dobrze, że jesteś, Maryniu. Pomożesz mi się ubrać, bo po obiedzie muszę wyjechać z domu. Ach, to nogi, znów mnie dziś bardzo bolą; stać mi trudno. Przynieś no z kąpieli miednicę z ciepłą wodą, będziesz musiała mi je obmyć.

Obmyć to na tem ma polegać jej służba! Marynia przypomniała sobie, jak się na nią raz matka pogniewała, gdy jej podczas choroby chciała nogi obmyć. „A cóż ty, córuś, sobie myślisz, że to ja już kaleka, że sama nie potrafię!“ A jak płakała i dziękowała, kiedy w ostatnich dniach, leżąc bez sił na łóżku, musiała pozwolić Maryni robić wszystko, co chciała: myć, czesać, nawet z boku na bok przewracać. I tamto była matka, a tu jakaś stara, obca, brzydka pani. Brało ją obrzydzenie, że to wszystko robić będzie musiała zawsze, bo jej za to płacą. I jeszcze większe uczuła obrzydzenie, gdy wzięła w ręce te nagie, obrzękłe, żółto-zielone stopy, takie obce, takie wstrętne. Gryzła wargi, aby się powstrzymać od płaczu. Pomagała pani wkładać jedwabne spódnice, musiała zasznurować gorset, ciągnąc z całych sił sznurki, bo pani chciała mieć jeszcze koniecznie „młodą figurę,“ zapiąć buciki, asystować przy czesaniu włosów przez fryzyera.

Podczas obiadu Marynia stała za krzesełkiem pani i usługiwała jej. Lokaj usługiwał panu i paniczowi. Pan dobrze już łysy, ale ze skrupulatnie pofarbowanemi resztkami włosów i wąsami, których nienaturalna czarność dziwny tworzyła kontrast z pomiętą i zawiędłą skórą podstarzałego lowelasa, oka prawie nie spuszczał z Maryni, nieuważnie odpowiadając pani na jej nudne francuskie zdania. Marynia czuła ten wzrok na sobie i dziwnie przykro jej było. Gdy się spojrzenie pana ślizgało po jej głowie, po twarzy, po całej postaci, zdawało się jej, że po niej chodzi jakaś wielka, chłodna, wilgotna ropucha. Panicz blady, szczupły chłopiec, o wielkich ciemnych oczach, jadł mało i powoli, nie prawie nie mówił i rzadko podnosił oczy. Ile razy jednak je podnosił, wlepiał gorączkowo w twarz Maryni, a ręce wtedy mu drżały, i jeśli go ojciec lub matka w tej chwili zagadywali, mieszał się, czerwienił, spuszczał głowę i odpowiadał, jąkając się. Jego spojrzenia Marynię paliły.

— Więc nie pojedziesz ze mną, Henri?— spytała pani, wstając od stołu.

— Nie, chérie, zostanę dziś w domu.

— A, Georges?

— Ja też zostanę w domu, maman. Tadzio obiecał mnie odwiedzić.

Lokaj pojechał z panią, pokojówkę posłano gdzieś z biletem; Maryni zaś kazano w ich zastępstwie „wyjątkowo“ sprzątnąć ze stołu i posłać wieczorem łóżka.

— Maryniu, nie pójdziesz spać, póki ja nie wrócę, rzekła pani na odchodnem, pomożesz mi się rozebrać.

— Dobrze, proszę pani.

Pani wyjechała, pan wszedł do swego gabinetu, a panicz zamknął się w swoim pokoju.

Marynia sprzątała w stołowym pokoju. Pan wchodził parę razy, ale jakoś nie zdecydowany cofał się z powrotem. Wreszcie doszedł do Maryni i spytał.

— Jak ci na imię?

— Marya, proszę pana.

— Hm, tak, ładne imię. Więc będziemy cię nazywali Marynią. Dobrze?

— Dobrze, proszę pana.

Pan zawahał się i nie wiedział, co dalej mówić.

— No, i jakże, podoba ci się u nas?

— Tak, proszę pana.

— Moja żona jest dobrą panią, zobaczysz, będzie ci dobrze.

Marynia przypomniała sobie mycie nóg i nic nie odpowiedziała.

*) Ciąg dalszy, patrz nr. 49.

derem: fronda arystokracyi przemysłowej ani na chwilę nie ustawała, a nawet obostrzyła się, gdy na czele zastępów walczących w obronie hegemonii komina fabrycznego stanął baron Stumm. On to urządził obławę na pastorów, komentujących naukę Chrystusa w duchu nowoczesnej etyki społecznej. Kościół państwowy wstąpił od tego czasu na drogę poprawy i skruchy. Zresztą sami ministrowie nawrócili się. Odtąd gwiazda związku przemysłowców zajaśniała nowym, oślepiającym blaskiem. Organ Kruppa przeszedł pod kierownictwo galicyjskiego przybłędy, Schweinburga, który zyskał serce Miquela, cerując z cierpliwością Penelopy jego poszarpaną reputacyę i zarazem potrafił przekonać rząd o swej lojalności, agitując na korzyść pruskiego militaryzmu lądowego i morskiego. W ten sposób dojrzewała i rosła przyjaźń pomiędzy ministrami niemieckimi a przedstawicielami „gromadzenia bogactw.“ Rzecz to zresztą zupełnie zrozumiała dla każdego obserwatora i znawcy życia. To też z góry można było przypuszczać, że prędzej czy później Miquel i Posadowsky utoną w braterskich uściskach Kruppa i Stumma. Dowodów wyraźnych na to nie było, oprócz domysłów złośliwości ludzkiej. Wskazywano np., że ministrowie bywają regularnie na ucztach potentatów przemysłowych i piją nietylko miód i piwo, ale nawet wygłaszają wcale serdeczne toasty. Gdy przed dwoma laty roztrząsano w parlamencie projekt ustawy, karzącej więzieniem wykroczenia przeciw umowom najmu roboczego, odważyli się nawet niektórzy posłowie nazwać Posadowskiego rzecznikiem świata przedsiębiorców. Wobec tego, iż prawodawstwo niemieckie przewiduje wszelkie przerwy w pracy, nowy projekt zrobił wrażenie upominku dla Stumma i kompanii. Posadowsky, oburzony do głębi swojej ministeryalnej duszy nadanym mu przydomkiem, odparł iż wypowiedziane podejrzenie jest tak bezpodstawne, że nie zasługuje nawet na odprawę.

Nieszczęście jednak chciało, iż jakiś zdrajca, wtajemniczony w sprawy Związku przemysłowców, nadesłał przed kilku tygodniami do redakcyi lipskiej gazety ludowej list, podpisany nazwiskiem sekretarza związku, który przepuścił kilka rentgenowskich promieni przez serce Posadowskiego. List ten brzmi jak następuje: „Ministeryum spraw wewnętrznych wyraziło życzenie, żeby złożone do jego dyspozycyi 12,000 marek dla celów agitacyi za ustawą najmu przemysłowego. Przedstawiłem sprawę tę tajnemu radcy skarbowemu, Jenke, który uznał za stosowne nie odrzucić tego nieco osobliwego żądania.“ List ten sprawił wrażenie bomby. Z początku jakiś niewysłowiony popłoch ogarnął sfery rządowe. Gdy pierwsze przerażenie minęło, sekretarz związku oświadczył, że ministeryum otrzymało ową sumę na cele wyłącznie agitacyjne, czyli, innemi słowy, ministeryum zażądało zapomogi na „koszty fabrykacyi“ ustawy, wychodząc z założenia, iż służy ona interesom pewnej grupy przemysłowej. Fakt to prawie nieznany w krajach ucywilizowanych, aby rząd sprawował funkcye agenta kliki i wyraźnie żądał zapomogi na koszta utrzymania agentury. Kanclerz Bulow, który w parlamencie wciąż przesiada się z jednego stołka na drugi, uznał całą okropność zajścia, lecz oświadczył, iż nie myśli odprawić ani Posadowskiego, ani sprawcy kolekty. *Sic volo, sic jubeo* — powtarzają obecnie katarynki berlińskie.

A teraz, czytelniku, niewtajemniczony w sprawy rządzenia, zapytasz, co oznaczają wspomniane wyżej „cele agitacyjne,“ wymagające aż datku prywatnego? Rzecz to bardzo prosta. Rząd, chcąc przeprowadzić jakiśkolwiek projekt, stara się oddziałać na opinię publiczną i usposobić ją łaskawie dla zmiany prawodawczej. Co prawda, rząd ma do usług swych *Reichsanzeiger'a*, którego treść śledzi uważnie cała prasa niemiecka. Ale widocznie ten sposób porozumiewania się z ogółem i zawiadamiania go o swych zamiarach nie wystarcza ministrom, skoro właśnie zeń najmniej korzystają. Już Bismarck założył w tym celu *Korespondencyę prowincyonalną*, redagowaną w ministeryum i dołączaną tytułem dodatku do gazet wszystkich gmin niemieckich, czyli t. zw. *Kreisblatter*, których, o ile mi wiadomo, istnieje w Niemczech przeszło 10 tysięcy. W 1883 r. organ ten wyzionął ducha i miejsce jego zajęła słynna *Norddeutscherka*, były dziennik republikański, pełniący obecnie, jako płatny ochotnik, obowiązki sługusa. Pismo to tak cuchnie brudami, iż Lasker w swoim czasie wyraził kanclerzowi swe zdziwienie, że posługuje się pomocą tak podejrzanych osobistości. „Cóż zrobić, kochany doktorze—brzmiała odpowiedź — kiedy porządni ludzie dla mnie nie chcą pisać.“ Bismarck pierwszy ocenił znaczenie prasy półurzędowej, której nikt nie podejrzewa o stronniczość, w dodatku sowicie opłaconą. Śladem *Norddentscherki*, poszła cała zgraja drobnych dzienników. Ich gorliwość i sposób obsługiwania tak dalece zaczęły żenować rząd, iż Caprivi, mąż o nieskażonej prawości charakteru, postanowił zerwać z całą bandą. Za rządów ks. Hohenlohego zrehabilitowano płatną prasę rządową. W r. 1894 powstała *Berlińska korespondencya*, której abonament nic nie kosztuje, tak, iż otrzymuje się ją na żądanie bezpłatnie ze stemplem „Biura literackiego ministeryum stanu.“ Oprócz tego zaprzedały się rządowi dwa pisma o przeszłości poważnej: berlińska *National Zeitung* i monachijska *Allgemeine Zeitung*. Dodajmy tu, iż każdy minister ma swój własny aparat dziennikarski, za którego pomocą wpływa na ogół i... zwalcza rywali. Tak np. cały szereg dzienników jawnie kokietuje nazwą organów „urzędowych Miquela“ (Miquel-officios). Nie będziemy dalej rozgłaszali tajemnic ministrów niemieckich. A teraz chyba domyślasz się, czytelniku, co znaczy piękny zwrót: „cele agitacyjne.“

H. F.

Zrzeszenia spożywców wobec głodu węglowego.

„Głód węglowy,“ który tak dotkliwie dał się odczuć swojskim spożywcom w ciągu r. b., bynajmniej nie jest klęską wyłącznie naszą, ale przedstawia zjawisko ogólniejsze, ogarniające wszystkie przemysłowe kraje naszej cywilizacyi. Ceny czarnego towaru podniosły się i w Niemczech, w których drożyzna węgla sroży się z większą chyba mocą, aniżeli u nas; na zwyżkę cen opału utyskują w Belgii i w Anglii, we Francyi i Stanach Zjednoczonych. Zjawisko tak powszechne musi wszędzie posiadać pewną wspólną przyczynę, bo trudno przypuścić, ażeby w każdym z krajów odmienne okoliczno-

---

— No, i pana będziesz miała też dobrego, dodał z brzydkim uśmiechem.

Marynia poczuła, że znów po niej łazi ropucha, i wzdrygnęła się, nie podnosząc oczu.

— A ładna jesteś, znów zagadnął pan, wziął ją trzema palcami za podbródek i podniósł jej głowę, żeby spojrzeć w oczy.

Marynia cofnęła się gwałtownie i oblała rumieńcem.

— O, jaka dzika, rzekł pan ze śmiechem, zbliżył się znowu i nim zdołała się obejrzeć, objął ją i pocałował w policzek.

— Panie!...

Marynia się szarpnęła i wyrwała z jego objęć. Oczy jej zabłysły od gniewu i oburzenia, nie spuściła ich, lecz podniosła wprost na twarz tego zgniłego lowelasa, który się zmieszał i pokrywając zmieszanie śmiechem, zawołał:

— Dziczek, ale śliczny! No, nie gniewaj się, Maryniu, jeszcze zostaniemy przyjaciółmi, dodał ciszej i wrócił do gabinetu.

Marynia drżała z oburzenia, w oczach jej zakręciły się łzy. Co to jest? Jak ten pan śmiał? Więc dlatego, że ona musi służyć, że ona biedna, to ją nawet całować wolno bezkarnie? Dlaczego? dlaczego? Chciała rzucić wszystko i uciec. Gdzie, dokąd? Noc zapadała, a tam za oknami ulica, wielka ulica, na której nikogo, żadnej znajomej twarzy, żadnego bliskiego człowieka. Dokąd ona pójdzie? Postanowiła zostać i walczyć. Przypomniała sobie, jak nieraz matka ją pocieszała, gdy się jej coś nie udawało. „Nic to, córuś, nie martw się, postaraj się, pomęcz, a postawisz na swojem.“ „Postawię na swojem i tknąć się nie pozwolę,“ pomyślała i wróciła do swego pokoiku.

Nim się obejrzeć zdołała, pokoik swój uprzątnąć, rzeczy ułożyć, zapadł wieczór. Przez otwarte okna dochodziły ją gwary podwórzowe. Stróż krzyczał na jakąś służącą, że śmiecie na podwórze wyrzuca; z przeciwległej kuchni szedł jakiś o tyle głośny, ile fałszywy śpiew. „Gdy rozkwitły róże, bzy!“— ciągnęła jakaś sentymentalna kucharka.

Marynia poszła do pokoju państwa słać łóżka. W pokoju było ciemno, więc zapaliła świecę. „Jak tu pięknie“ — pomyślała, patrząc na rzeźbione, szerokie łóżka, dywany, portyery, story. Zachwyt jej doszedł szczytu, gdy poczęła nurzać ręce w całej fali cieniutkich batystów, haftów i koronek, zalewających łóżka. „Muszą być strasznie bogaci i bardzo szczęśliwi“ — zdecydowała, wychodząc z sypialni i kierując się do pokoju panicza.

Drzwi były niezupełnie zamknięte i przez szparę płynęła ku niej cienka struga światła. Panicz był w domu. Marynia przypomniała sobie jego spojrzenia podczas obiadu i zawahała się. Wreszcie zapukała do drzwi.

— Proszę wejść! — rozległ się jakiś niepewny, jak gdyby drżący ze wzruszenia głos panicza.

Siedział przy stole, na którym paliła się lampa, i czytał. Marynia nie wiedziała, że od paru godzin nie przewracał kartek, bo myśl jego, rozkołysana jakimiś denerwującymi obrazami, podniecanymi przez przedwcześnie rozwiniętą wyobraźnię, nie mogła się ani na chwilę uczepić wątku, rozsnuwanego przez książki. Zauważyła tylko, że panicz był bledszy, niż przy obiedzie i miał bardziej błyszczące i podkrążone oczy.

— Czy mogę paniczowi posłać?

— Proszę...

Maryni wydał się głos ten jeszcze bardziej niepewnym i drżącym. Poczęła szybko przewracać i układać pościel. Panicz wstał, założył ręce w tył i zaczął się przechadzać po pokoju. Parę razy dochodził już do Maryni, lecz za każdym razem cofał się i szedł dalej. Im bardziej zbliżała się ku końcowi jej robota, tem bliżej w wędrówce swojej koło niej przechodził. Marynię począł ogarniać niepokój. Skończyła pospiesznie układać poduszki, złożyła kołdrę i zabierała się ku wyjściu. Panicz stanął przed nią.

— Już odchodzisz, Maryniu?

— Posłałam przecie paniczowi...

— A nie... a nie powiesz mi dobranoc?..

— Dobranoc paniczowi.

Chciała przejść koło niego i skierować się ku drzwiom, lecz zastąpił jej drogę.

— Niech mnie panicz przepuści...

— Dlaczego się tak spieszysz?

ści złożyły się tak osobliwie i wydały ten sam rezultat. Wprawdzie zależność wzajemna rynków jest dzisiaj bardzo znaczną i wszelkie miejscowe trwalsze wygórowanie cen musi i w innych punktach obszaru wymiennego oddziałać na poziom cen i podnieść je powyżej zwykłej normy. Wskazują nawet na dwa takie ogniska podrożenia węgla, a mianowicie na Rosyę, której przemysł przetwórczy w ostatnich czasach wzrasta dość energicznie i pochłania nieproporcyonalnie wielką ilość węgla w stosunku do miejscowej jego produkcyi, oraz na Anglię, wymagającą, z powodu przewozu wojsk, zwiększonej dostawy węgli. Ale niema najmniejszej wątpliwości, iż wzrost zapotrzebowania w obu tych punktach terytoryum wymiennego nie jest tak olbrzymi, ażeby nim można było wytłomaczyć powszechną europejską drożyznę.

Opinia publiczna, niezależnie w każdym kraju, jednogłośnie wskazuje tego samego winowajcę — syndykaty; wszędzie właściciele kopalń łączą się w kartele w celu ograniczenia produkcyi węgla, zmniejszenia współzawodnictwa wzajemnego i podniesienia cen produkowanego towaru. Że przemysł rozwija się zbyt szybko i pochłania zbyt wielką procentowo ilość węgla, wymówka ta, przytaczana przez przemysł na swą obronę, niewątpliwie odpowiada rzeczywistości, ale tak samo, jak wysoki poziom rzeki, ujętej w tamy, jest wynikiem wzniesienia faszyn, powstrzymujących rozlanie się wód po okolicznej nizinie. Ceny węgla, wobec zbliżającego się przesilenia w przemyśle żelaznym, spadną, ale tylko na czas pewien, bo kartele, gdy raz powstały, nie znikną z widowni społecznej, lecz dalej będą prowadziły dzieło ogołacania kieszeni spożywców, gdy pierwsze grzmoty nadciągającej burzy ekonomicznej przejdą. Wstępujemy niezaprzeczenie w nowy okres rozwoju stosunków — w okres monopolów, obejmujących swoimi zaiste żelaznymi uściskami cały rynek wszechświatowy. A to zorganizowane ograniczenie rozmiarów produkcyi zrodziło orgię spekulacyjną pośredników, którzy jeszcze niemiłosierniej, niż możnowładcy czarnego towaru, jęli wyzyskiwać położenie. Niedomaganie zaostrzyło się skutkiem spekulacyi pokątnych giełd i przybrało niezwykle gwałtowny charakter.

Na razie jest dla nas obojętnem, gdzie należy poszukiwać źródła ogólnej drożyzny węgla. Inna rzecz obchodzi nas bardziej, a mianowicie, w jaki sposób w Europie poszukują leków na to powszechne niedomaganie, zagrażające jeszcze znaczniejszą zwyżką cen w dalszej przyszłości. Głód węglowy wywołał mnóstwo polemik i projektów, i nawet doprowadził do wielu prób zaradzenia złemu. Inicyatorami są przedstawiciele najrozmaitszych przekonań. Znajdujemy tam konserwatywnych ziemian, liberalnych rajców municypalnych, czystej krwi obrońców idei biurokratycznej, wyznawców teoryj radykalnych, słowem *all sorts and conditions of men*. A jednak, pomimo różnicy stanowisk, zasadniczy i ogólny akord istnieje w tym tak nieharmonijnie dobranym chórze głosów. Jest nim chęć usunięcia pośredników, a nawet odebrania kopalni przedsiębiorcom prywatnym i zorganizowania eksploatacyi węgla, a przynajmniej dostawy jego na zasadach, obcych duchowi zysków. Zgodność ta podstawowego żądania niewątpliwie przedstawia fakt charakterystyczny, świadczący o panowaniu w obecnem życiu Europy zgoła innego nastroju, niż przed paru dziesiątkami lat, a nawet przed laty kilkunastu. Z chwilą, gdy kapitał wystąpił w stosunku do odbiorców, jako potęga zorganizowana, spożywcy przybrali względem niego zgoła inną postawę. Opinia publiczna przeciwstawiła monopolom — zrzeszenie, municypalizacyę i unarodowienie, lub przynajmniej regulowanie cen węgla przez państwo w sprzedaży jego hurtowej w kopalniach.

Niestety, trudno dać obraz wyczerpujący prób, przedsiębranych w tym kierunku. Działalność towarzystw spożywczych i rad miejskich pozostaje w ukryciu, wiadomości o nowych drogach przedostają się z trudnością do pism ogólniejszych i czekają całe lata, zanim ktoś zgromadzi je w specyalnej monografii. Ciekawe doświadczenia społeczne, przedsiębrane tu i owdzie, są nieznane zwykle szerszym kołom. Tylko przypadkowo dowiedzieliśmy się np. o uchwale glasgowskiej rady municypalnej, która na jednem z wrześniowych posiedzeń uchwaliła zaciągnąć pożyczkę w ilości 500 tysięcy funtów sterlingów, ażeby nabyć własne lub wydzierżawić cudze kopalnie węgla. Produkt byłby sprzedawany w składach municypalnych Glasgowa jego mieszkańcom po cenach kosztu, z doliczeniem amortyzacyi wyłożonego kapitału. Wspominając o tym projekcie, nie umiemy nawet powiedzieć, co się z nim stało. Uchwała ta, dla swego urzeczywistnienia, wymaga potwierdzenia parlamentu, a raczej, w dzisiejszym stanie rzeczy, przychylnej opinii ze strony specyalnej komisyi parlamentarnej, obradującej nad działalnością ekonomiczną rad municypalnych.

Natomiast co do Niemiec jesteśmy lepiej poinformowani. Drożyzna węgla wywołała tam wśród stowarzyszeń spożywczych, związków ziemiańskich i ogółu zwyczajnych odbiorców, dość szeroką działalność, skierowaną na wyrugowanie pośredników.

Członkowie rady miejskiej w Poczdamie, z powodu drożyzny węgla, w której niepoślednią rolę odgrywała miejscowa zmowa pośredników, rozesłali okólnik do wszystkich składów węgla z żądaniem, ażeby zobowiązały się piśmiennie do zniżenia cen na 90 fenigów za cetnar i do utrzymania ich na pewnym z góry wyznaczonym poziomie w ciągu nadchodzącej zimy. Jeśli pośrednicy nie uskutecznią tego przed określonym terminem, inicyatorowie postanowili zwołać ogólne zebranie spożywców i zorganizować z mieszkańców Poczdamu specyalne stowarzyszenie, wyłącznie w celu hurtownego nabywania węgla i sprzedawania go w składach po cenach kosztu. Jakie losy spotkały to wystąpienie, o tem nie umiemy powiedzieć nic stanowczego, wiemy jednak, iż podobne stowarzyszenia powstały w różnych punktach Rzeszy niemieckiej, np. w Heidelbergu, Karlsruhe, Manheimie, i rozwijają się podobno pomyślnie. Podając wzmiankę o ich zorganizowaniu, *Soziale Praxis*, tygodnik zachowawczy, robi charakterystyczną uwagę: „Tego rodzaju stowarzyszenia mogą skutecznie działać przeciw drożyźnie węgla tylko wtedy, gdy zjednoczą się w wielkie związki, mogące stawiać czoło właściwym sprawcom niedomagania."

W tym samym duchu powziął uchwałę zjazd przedstawicieli zrzeszeń ziemiańskich, który obradował w sierpniu w Halli. Kooperacya rolnicza w Niemczech przedstawia znaczną potęgę społeczną, bo

---

Zbliżył się do niej i pochylił twarz nad jej twarzą. Pałające oczy jego piekły ją ogniem, urywane gorące tchnienie jego poczuła na twarzy i gwałtownie cofnęła się. Pochwycił ją za rękę. Dłoń jego była gorąca i spocona; przeszedł ją dreszcz; wyrwała rękę i chciała krzyknąć, lecz ją coś zdławiło w gardle. Porwał ją wpół, a gdy ona, chcąc się wyrwać z uścisku, pochyliła się w tył, wpił się dziko, z całej siły, ustami w jej usta. Czuła, że ją chwyta bezwład; ostatnim wysiłkiem wydarła się i napół nieprzytomna wpadła do swego pokoiku.

Po głowie latały jej już nie myśli, lecz jakieś strzępki, skrawki, błyski. Wszystko się w niej zmąciło, splątało. Nie wiedziała, czy ją co boli, czy to dusza w niej rwie się, czy płomień buntu myśli jej pali. Nim zdołała ochłonąć, trzykrotnie naciśnięty guzik dzwonka wezwał ją do pani. Szła napół przytomna, nie wiedząc, co ma robić, co mówić. Rozbierała panią do snu, zdejmowała suknię, zmieniała bieliznę, robiąc wszystko machinalnie, wzdrygając się mimowoli za każdym razem, gdy przypadkiem ręką dotknęła tego gołego, miękkiego, obcego ciała.

Pani wreszcie znalazła się w łóżku.

— Możesz już odejść, Maryniu!

— Dobranoc pani!

Chwilkę się zawahała. A może jej opowiedzieć? Może jej opowiedzieć o tym mężu i synu? Lecz na samą myśl tę wstyd, głęboko w niej tkwiący, dziewiczy, dotąd niegwałcony, rzucił jej na twarz płomienie i zamknął usta.

Wróciła do swego pokoiku. Chciała zamknąć drzwi na klucz, ale klucza nigdzie znaleźć nie mogła. To dziwne, a przecież tu tkwił w drzwiach. Może jej się zdawało? Zresztą po co klucz, przecież tu jej nikt nie napadnie? Rozebrała się, zmówiła pacierz i położyła się do łóżka. Okno zostawiła otwarte. Łagodne światło księżyca, niezatrzymywane roletą, cicho, srebrnie, wlewało się do pokoiku, obejmowało, tuliło, uspakajało.

Cały ból, cały bunt jej duszy uciszał się powoli i przechodził w zamyślenie. Chciała zrozumieć, co się z nią stało i dlaczego. Dlaczego dziś, pierwszego dnia służby, napadnięto ją tak bezlitośnie? Czem są ci „państwo" tacy silni, że mogą ją deptać i hańbić!? Przypomniały się jej batysty, hafty, koronki, portyery... Więc to przez pieniądze? Czem oni lepsi od niej? Pieniędzmi? Więc gdyby ona miała pieniądze, to oni nie śmieliby już z nią tak postępować i ona by u nich nie służyła? Więc to nie dobroć, nie nauka równa i różni ludzi, lecz pieniądze? Wydało jej się, że ludzie ci, co mają pieniądze, dużo pieniędzy, duszą i gniotą nimi tych, którzy ich nie mają, i zrobiło się jej żal tych gniecionych tem bardziej, że sama należała do nich.

Z przeciwległej kuchni znów rozległ się śpiew kucharki.

Bywajcie zdrowi,
Kawalerowie,
Biedna dziewczyna żegna was,
Bo ja sobie wolna,
Jak ptaszyna polna,
Więc mi już w drogę przyszedł czas...

Jak się tej chce śpiewać? Czy doprawdy nigdy jej nikt nie napadł, nikt jej nie obraził, nie kazał jej wykonywać najgorszych posług?

Godziny biły — jedna po drugiej — a Marynia leżała wciąż w zadumie, nie mogąc zmrużyć znużonych powiek. Nie słyszała skrzypnięcia drzwi, nie widziała, jak postać jakaś cała w bieli wsunęła się do pokoju...

— Maryniu!...

— Jezus, Marya! kto to?

— To ja...

Poznała przytłumiony, jak gdyby zdławiony, głos panicza.

— Precz, precz, precz!... — krzyczała podnosząc głos coraz bardziej.

„Precz, precz," powtarzała jeszcze bezmyślnie Marynia i opadła wyczerpana na poduszkę, a w uszach jej zabrzmiały słowa woźnego „trzeba mieć rozum."

Chwyciły ją drgania nerwowe, z początku silne i gwałtowne, potem coraz cichsze, aż wreszcie cały ból, całe pohańbienie człowiecze i dziecięca bezbronność, wybuchły z niej gwałtownym płaczem. Przytuliła głowę do poduszki i łkała, łkała bez końca, coraz ciszej i coraz boleśniej...

KONIEC.

w jednym, wprawdzie największym związku, znajduje się przeszło 7,000 stowarzyszeń. Bardzo żywe rozprawy toczyły się nad zorganizowaniem zrzeszonego zakupna węgli. W różnych punktach kraju istniałyby ziemiańskie składy tego towaru, z których pojedyńczy członkowie otrzymywaliby produkt po cenie kosztu. Między innemi podniesiono kwestyę połączenia się z towarzystwami spożywczemi miejskiemi, ażeby wspólnemi siłami wywrzeć większy nacisk na kopalnie.

Zatrzymaliśmy się jedynie nad próbami, które przedsiębrano, lub których urzeczywistnienie jest prawdopodobne. Nie zapuszczamy się w krytykę tych środków zaradczych, a tylko zaznaczamy ich obecność, jako charakterystyczny objaw społeczny. O pożyteczności zrzeszenia, o konieczności rozstania się z działalnością pośredników, o wyzysku spożywców przez przedsiębiorców i potrzebie walki zbiorowemi siłami przeciw monopolom możnowładców kapitału głośno rozprawiają warstwy, które dotychczas nie zajmowały się takiemi pytaniami. Jakiś nowy duch przedostaje się pomiędzy najpospolitszych filistrów i każe im podważać zasadnicze podstawy dotychczasowych sposobów dostawy. Ale różne próby praktyczne, przedsiębrane w celu zaradzenia drożyźnie węgla, przedstawiają jedynie drobną cząstkę tych pomysłów, które wcieliły się w drukowanem słowie. Mamy pod ręką parę odczytów w tej kwestyi i mnóstwo broszur. Jedne żądają założenia municypalnych składów dla sprzedaży węgli, naturalnie opartych na bezpośredniem zakupnie od kopalni i usunięciu zupełnem pośredników, jako pasorzytów społecznych. Inne domagają się upaństwowienia kopalni, jeszcze inne zachowują się wrogo wobec tego projektu, gdyż taki środek, dokonany w arcy-militarnem i arcy-biurokratycznem społeczeństwie, jak Niemcy, oddałby w ręce państwa jedną z najważniejszych gałęzi produkcyi, stworzyłby nowe źródła dochodów, a w niczem nie zabezpieczyłby spożywców przed drożyzną. Takie właśnie stanowisko zajmują przedstawiciele radykalizmu niemieckiego. Jeszcze inne głosy domagają się zakupna kopalni przez municypalności. Z wyjątkiem płatnych obrońców interesu kopalnianego, wszędzie słychać tylko głosy w rodzaju przytoczonych, podnoszące konieczność rozstania się z prywatną zasadą władania i eksploatacyi kopalni węgla. W tym chórze uderza nas postawa rzeczników gospodarstwa społecznego. Posiadając może największą dzisiaj w Niemczech znajomość stosunków społecznych, występują oni stanowczo przeciw wszelkiemu upaństwowieniu, chociaż skłaniają się ku planom założenia składów municypalnych, ale natomiast z całą mocą żądają wdania się państwa w stosunki kopalniane i regulowania tam zarobku robotników przez wprowadzenie minimalnej, obowiązującej skali zarobków, oraz tak samo obowiązującej, ustanawianej przez organizacyę państwową maksymalnej skali cen węgla.

Jakeśmy niejednokrotnie zaznaczyli, nie chodzi nam o krytykę różnych prób, planów i pomysłów, lecz jedynie o zobrazowanie ich charakteru. Ogólna drożyzna węgla, wywołana przez powstanie karteli i orgię pośredników, spotkała ze strony spożywców opór teoretyczny, zrywający z zasadami indywidualizmu ekonomicznego. W dotychczasowych dziejach Europy nie znamy podobnie szerokiego prądu opinii publicznej, tak stanowczo oświadczającego się przeciw wszystkiemu temu, co dotychczas uchodziło za podstawę naszego gospodarstwa społecznego. Zorganizowana zmowa królewiąt kopalnianych wywołała, a raczej ujawniała fakt, iż ideje zrzeszenia spożywców, gospodarczej działalności rad municypalnych, kontroli państwowej nad produkcyą i regulowania przez państwo cen produktów przedostały się do szerokich grup ludności.

K. R. Ż.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Panowie jadą

Przez lat kilka bogate mieszczaństwo warszawskie przypominało nam swemi ofiarami dobroczynnemi lud wiejski, który w dzień zaduszny niesie do kościoła tłomoki chleba i placków. Odbywała się w tej sferze formalna licytacya zasług obywatelskich za pomocą hojności filantropijnej: jedni sypali pieniądze na stypendya, drudzy na konkursy, inni na kasy, szkoły, przytułki, szpitale itd. Iskry tego zapału padały nawet w takie serca, których moralna wartość nie pozwalała przyjąć od nich danin instytucyom, przestrzegającym bodaj pozornej czystości źródeł swojego dochodu i odpychającym pieniądze ze zbyt ostrą wonią. Wreszcie tak przywykliśmy do tych kaskad szczodrobliwości, że nie zdumiewały już nas największe jej wylewy i raczej dziwiliśmy się, gdy któregoś dnia nie przeczytaliśmy w pismach o nowym deszczu złotym, spadłym na spieczone pola potrzeb społecznych. Większe wrażenie sprawiała na nas wiadomość, że p. Kłobukowski rozdaje po kilkadziesiąt ziarnek fasoli brazylijskiej, niż że pp. Rotwand, Wawelberg, Lenvall, Czaban i inni złożyli na coś po kilkadziesiąt tysięcy rubli. Dla uczczenia „nowej szlachty" reporterzy wyczerpali ze swych słowników wszystkie przymiotniki zdobiące, a publicyści sejmowali nad osobnym indygenatem i rozdzielali dyplomy nobilitacyjne. Posiadacze przydomka „ściśnięty kułak" otrzymali herb „otwarta dłoń" i stanęli w pierwszych rzędach patrycyatu. Tłum rozdziawiaczy ust, który pomimo niezliczonych doświadczeń i zawodów uparcie łączył pewne nazwiska i tytuły z pewnemi zasługami, uczuł zawrót głowy wobec nowych bohaterów, a przedpokoje rodowych panów w prasie jak wstrząśnięte ule huczały głuchymi szeptami zaniepokojonej służby. Co to znaczy? — pytano się ze zdumieniem i trwogą. Buławy i pieczęcie koronne w rękach bankierów, a posterunki, na których odbywanie warty było przywilejem gwardyi, zajęte są przez zbogaconych dostawców obozowych? Koniec świata! Czy kieszenie naszych „naturalnych" przewodników i opiekunów są puste, czy też skąpstwem zaszyte? Trzeba radzić, trzeba co prędzej zapobiedz wykolejeniu się umysłów z prawidłowego toru. Jeszcze kilka rzęsistych siewów mieszczańskiej pychy, a jej plon zagłuszy gęstymi chwastami rzadkie i wątłe kłosy szlachetnego zboża.

Jakże się zachowywali „naturalni przewodnicy"?

Podczas gdy ordynarna, czerwona lub czarna krew tak odbarwiała się i filtrowała przez filantropię, niebieska usiłowała nie zielenieć z gniewu, który należy do właściwości gminnych. Co mówiły do siebie starodrzewy, dęby i sosny, odgadnąć możemy z tego, co szumiały rosnące u ich stóp jałowce i leszczyny. A szumiały one:

„Zadanie arystokracyi polega nie na dawaniu pieniędzy, bo to *potrafi każdy* pełny worek, ale na przewodniczeniu, do czego *nie każdy* ma zdolność i prawo.

Nagrabiwszy milionów w rozboju spekulacyjnym, łatwo z nich odrzucić tysiące dla uśpienia czujnych sumień i oślepienia krótkowzrocznych umysłów.

Owszem, niech Żydzi, mechesy i łyki *wkupują* się do społeczeństwa; my tego czynić nie potrzebujemy.

My jesteśmy pełnomocnikami ogółu, a oni niech będą jego kasyerami.

My jesteśmy kwiatem narodu, a oni jego sztucznym nawozem.

Sprawę, osądzoną w duchu tych paragrafów naszego kodeksu socyologicznego, uznaliśmy za rozstrzygniętą ostatecznie. Żydzi, mechesy i łyki naładowywali furgony społeczne a panowie jechali na przodzie z buławami. Mimo wszakże powyższych aforyzmów, mimo pogodzenia swych myśli i uczuć z „naturalnym porządkiem rzeczy," gdzieś głęboko, na dnie świadomości ogółu drzemał i czasami poruszał się maleńki robaczek — wyrzutu, żalu, czy skargi, bolejącej nad tem, że panowie robią ze wszystkich stanów pasztet, w którym sami chcą być tylko truflami: czyli, jak mówiono dosadniej — że każda uczta filantropijna składa się u nas z porcyi flaków, do których panowie dostarczają tylko imbiru. Ten robaczek potrącał ciągle struny tęsknoty i nadziei. Jak dziewczeczka, która lęka się swych śmiałych pragnień a jednak ich stłumić nie może, gwiazdy dziennikarskie na Zwrotniku Raka wzdychały: „Ach, gdyby..." Znaczyło to: „Ach, gdyby panowie zechcieli cokolwiek dać... bo kołtuństwo zbyt zadziera nosy." Długo, nieraz bardzo długo spadał cichemi kroplami szept tej modlitwy, gdy nagle uderzono w bębny i trąby: pan coś dał, nie żyd, nie meches, nie łyk, ale rzeczywisty pan dał — kilkadziesiąt rubli, instrument, kocioł zupy rumfordzkiej, tuzin koszul itp. Był to dar maleńki, ale jakże cenny! Obnoszono go też w uroczystej procesyi po pismach peryodycznych.

I oto zdarzył się niespodziewany wypadek, który omal nie przeszedł do historyi, legł wszakże pod jej progiem. Dnia 16 grudnia *Kuryer* doniósł, że w pewnym pałacu odbyło się śmietankowe zebranie „z Sienkiewiczem." Czczono otworzenie nowego gmachu Towarzystwa sztuk pięknych. Śród rozmaitych toastów, z których jeden wypity był winem z rozpuszczoną w nim perłą stypendyalną, najsilniejszy w chórze głos wyrzucił słowa: „sztuka świeci — dobra wola grzeje." Zrobiło się gorąco. Dobra wola bowiem, sprowadzona z kuchni, gdzie pali ogień i zmywa naczynia, do salonu, gdzie promienieje wystrojona sztuka, stała się bohaterką chwili. Zdawało się, że olimpijczycy, których nie wzruszyłby jęk cierpień, zdolny swą potęgą wykoleić planety z odwiecznych torów, a którzy mdleją z zachwytu przed widokiem pięknego zbytku, spojrzeli ze szczytów w dół i nadstawili uszy na dolatujące ich stąd wołania. Było to złudzenie, ale miała nastąpić niespodzianka. Jeden z mężów śród ogólnej ciszy oświadczył, że... dziesięciu ludzi dobrej woli... postanowiło składać po 10,000 rb. przez lat pięć... dla stworzenia galeryi narodowej. Grzmoty oklasków nie pozwoliły usłyszeć tego oznajmienia całkowicie i dokładnie: reporter porwał z barzy łuk tęczy i rozpiął go nazajutrz w *Kuryerze*.

Potomkowie! Jeżeli w odległych czasach będziecie się zastanawiali nad tym wypadkiem, porzućcie wszelką domyślność, gdyż nie wyobrazicie sobie wzruszenia, jakie nas ogarnęło. Kto stał — przebierał nogami, kto siedział — odrzucił głowę na poręcz krzesła, kto leżał — wyskakiwał z łóżka, a każdy widział przeciągający w mglistą dal długi szereg smutnych kapłanek Wenery we włosienicach z opuszczonemi i popiołem posypanemi głowami. Dziesięciu ludzi „dobrej woli" składać będzie *po* 10,000 rb. przez lat pięć, to znaczy 500,000 rb. Wybiła pierwsza godzina nowej epoki — przynajmniej dla „galeryi narodowej." Patrzcie, teraz panowie jadą.... I jak jadą!

Aliści nazajutrz tenże *Kuryer* zamieścił małe sprostowanie, mianowicie, dziesięciu ludzi „dobrej woli" złoży nie *po* 10,000 rb. rocznie, ale razem 10,000 rb., co przez lat pięć da 50,000 rb. „Galerya narodowa" zmniejszyła się dziesięćkroć — galerye hipodromu klaszczą wstrzemięźliwiej, panowie wolniej jadą, ale jadą.

Nagle, wpatrzony w pole wyścigowe Hiob krzyknął: Co się stało? Najlepiej poinformowany Merkury prasy ogłosił: „*Chodzi o to* (dopiero!), *aby znaleźć* dziesięciu ludzi zamożnych i ofiarnych, którzyby przez lat pięć" itd.

A!

Jeżeli Żydzi, mechesy i łyki nie zrozumieli, *o co tu chodzi*, to już chyba nigdy nie „wkupią się" do naszego społeczeństwa. Ułatwiono im ten wkup o tyle, że podobno już pięciu ludzi „zamożnych i ofiarnych" znalazło się — czyli — „galerya narodowa" ma zapewniony jeden dobry obraz, a poszukuje składek na drugi.

Przepraszam, dostanie i więcej. Spadkobiercy bowiem F. Gebethnera, dziwnego łyka, który odmawiał wszystkim swoim potrzebom i skupował obrazy, ofiarowali Towarzystwu 100 płócien. Sytuacya uratowana. Wdzięczni też za przysługę panowie obejrzeli się ze swych siodeł i uśmiechnęli się przyjacielsko do zbawcy. Jadą jeszcze wolniej, ale jadą, bo między pięcioma, których „znaleziono," jest zapewnie jeden z nich...

A cóż się stało ze wzruszeniem narodu? Słuchając „ścisłych wyjaśnień," stojący — stoją, siedzący — siedzą, leżący — leżą, a wszystkim się zdaje, że ów szereg pięknych niewiast, który przesunął się w żałobnym pochodzie, teraz ujął się za ręce, zatoczył krąg i tańczy z wesołą pieśnią około ołtarza, na którym leży 5,000 rublowa ofiara dla „galeryi narodowej."

Radość ta jest słuszna, a rozczarowanie wygórowanych pretensyj zasłużone. Sam sobie winien, kto zapomniał, że w wyścigu filantropijnym panowie nietylko lubią „bieg płaski" bez przeszkód, na których kark skręcić można i od których uwalnia sztuka, ale także bieg wolny. Przeskakiwanie rowów i płotów pozostawiają ludziom „niemającym nic do stracenia," a szybkie tempa — żokiejom społecznym, jeżdżącym w ich barwach.

Tak panowie jadą.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

GOSPODARSTWO WSZECHŚWIATOWE A NARODOWE.

W r. 1897 prof. K. Oldenberg w Marburgu wygłosił odczyt p. t. „Niemcy jako państwo przemysłowe" *). W odczycie tym wskazuje niebezpieczeństwo, jakie grozi państwu niemieckiemu od czasu, kiedy rozwój ekonomiczny przybrał wyraźną tendencyę w kierunku przewagi wielkiego przemysłu wywozowego. Zaznacza fakt, że współubieganie się na rynku międzynarodowym staje się coraz bardziej natężonem, że wskutek tego przyszłość każdego państwa jest niepewną. Tak wreszcie streszcza swoje wywody: „Praktykowane dziś popieranie przemysłu wywozowego nie sięga wzrokiem daleko w przyszłość. Jest to polityka łatania z dnia na dzień, zastosowywana do wymagań kapitału. Wzrastająca ludność przemysłowa w niezbyt odległej przyszłości nie znajdzie ani odbytu na swoje produkty, ani chleba na wyżywienie się. Najpierw wzrosną ceny chleba, później zaś w miarę zmniejszenia się wartości eksportu i opłat za odsetki od kapitałów lokowanych za granicą, zmniejszy się wogóle możność nabycia tego chleba. Kraje produkujące zboże będą mogły dyktować swoje warunki staremu światu." Stąd autor domaga się takiej polityki ekonomicznej, która uczyniłaby Niemcy niezależnemi. Niemcy muszą dążyć do tego, by wytwarzać u siebie tyle produktów rolniczych, ile ich potrzebują na wyżywienie swojej ludności.

Na te wywody odpowiedział obecnie znany ekonomista, Henryk Dietzel, prof. uniw. w Bonn, rozprawą p. t. *Weltwirthschaft und Volkswirthschaft* *), stawiając wszelako kwestyę na gruncie ogólnym.

Punktem wyjścia dla Dietzla jest prawo zmniejszającej się wydajności pracy w produkcyi rolniczej, kopalnianej itd. Każdy naród na zajmowanem przez siebie terytoryum znajduje określoną ilość bogactw naturalnych, które może eksploatować; gdyby więc chciał zaspakajać wszystkie swoje potrzeby własną produkcyą, to z konieczności dojdzie on do tego, że będzie musiał uprawiać grunta mało wydajne, nieopłacające nakładów, będzie produkował materyały surowe z niepomiernym nakładem pracy. „Postępy techniczne mogą czasowo paraliżować działanie tego prawa, lecz nie są w stanie na stałe usunąć nas z pod jego wpływów."

W dziedzinie natomiast przemysłu, handlu, transportu działa — jak twierdzi autor — *prawo wzrastającej wydajności*. „W miarę rozszerzania produkcyi przemysłowej wzrasta przeciętna wydajność przemysłowej jednostki pracy, wzrasta produkcyjność przemysłowej pracy całego narodu. Albo, jak niedawno sformułowano, w rolnictwie „ostatni korzec jest najdroższy," w górnictwie „ostatni centnar. W przemyśle dzieje się odwrotnie: „ostatni łokieć, ostatni tuzin jest najtańszy." „Możliwem jest, że zmniejszona wydajność w produkcyi materyałów surowych może być wynagrodzoną wzrostem wydajności w produkcyi przemysłowej, a wtedy, pomimo wzrostu ludności i wzrostu zapotrzebowania na środki spożywcze i materyały, produkt, przypadający na jednostkę, dochód przeciętny, nie zmniejsza się, lecz wzrasta." Wzrasta zatem pomimo działania owego prawa o zmniejszającej się wydajności w produkcyi rolniczo-górniczej. Do takich rezultatów doprowadza rozwój techniki i — międzynarodowy podział pracy, wymiana produktów, przy której na każdem terytoryum mogą się rozwijać te gałęzie produkcyi, którym sprzyjają warunki przyrodzone. Naród, u którego produkcya materyałów surowych jest możliwą tylko przy tak wielkim nakładzie pracy, że zostaje naruszoną zasada gospodarczości, może uwolnić się od tej konsekwencyi, skierowując swoją pracę w kierunku przemysłowym, potrzeby zaś swoje w produktach spożywczych i materyałach surowych będzie wtedy pokrywał przywozem z krajów, w których prawo „zmniejszającej się wydajności" nie działa jeszcze, lub działa w słabszym stopniu. A więc — wolna wymiana, rozwój przemysłu, rozwój kapitalizmu: na tej drodze zbawienie.

Ażeby uzasadnić swoją tezę, Dietzel powołuje się na to, że wiek XIX, wiek kapitalizmu i ożywionej wymiany, jest wiekiem „ogromnego postępu ekonomicznego, który zawdzięcza gospodarstwu wszechświatowemu." Usiłuje on dowieść znacznego wzrostu dobrobytu mas w Niemczech. Jednakże dowodzenia te należy uważać za zgoła niedostateczne, jeżeli nie chybione. Bezpodstawnem jest np. powoływanie się na wzrost konsumcyi kartofli, gdyż właśnie przewaga kartofli w jadłospisie jest dowodem złego odżywiania. Autor przytacza też wzrost konsumcyi mięsa w Saksonii; lecz te cyfry z różnych dziesięcioleci nie mogą zgoła podlegać zestawieniu, gdyż dawniej bito bardzo wiele bydła i wieprzy po za rzeźniami i te ilości nie mogły ulegać kontroli. Nie bardzo też przekonywają cyfry, wykazujące zużywanie tkanin. Oczywiście, skoro płótno samodziałowe zastąpił lichy bawełniak, w którym więcej jest „szlichty" (krochmalu, kleju itp.), niż włókna, jeżeli zamiast uczciwego sukna kupujemy „shaddy," wyrabiane ze starych gałganów, to oczywiście konsumcya musi być większa.

Bardziej uzasadnionem jest twierdzenie o większem zabezpieczeniu ludności w krajach zachodniej Europy od klęsk głodowych. Anglia, Francya, Niemcy itd. są dziś zabezpieczone od takich klęsk, gdyż na wypadek nieurodzaju wysoki poziom techniki handlowej i dróg komunikacyi dają rękojmię, że zboże, jakkolwiek po wyższych cenach, dostarczonem będzie.

Autor roztrząsa dalej kwestyę, o ile zapewnioną jest przyszłość krajów eksportujących, tj. o ile uzasadnione są obawy, że handel ich wywozowy może podupaść, że rynki zbytu mogą być zamknięte. Oczywiście *czasowe* utrudnienia tego rodzaju powtarzają się i muszą powtarzać często. Skoro każdy kraj przemysłowy jest związany stosunkami handlowymi z całym szeregiem krajów, każda zmiana w polityce handlowej tych ostatnich, każdy nieurodzaj, zmniejszający siłę kupczą ludności w którymkolwiek z tych krajów, odbija się na nim.

Bardzo pobieżnie jest załatwioną inna, ważniejsza daleko kwestya, czy i o ile wplątanie w sieć wymiany wszechświatowej powiększa dla danego kraju niebezpieczeństwo zamętu w produkcyi wewnętrznej, czy i o ile wskutek niepewności, chwiejności stosunków i braku wszelkiej kontroli rynku zewnętrznego, wzrasta niebezpieczeństwo nadprodukcyi i przesileń. Autor zapewnia nas, że gdyby nawet tak było, to taka zależność od wpływów ekonomicznych zewnętrznych jest mniejszem złem, niż zależność od wpływów naturalnych (nieurodzajów itd.) i kończy cytatą: „Teorya kryzysów nie sprawdziła się, przeciwnie, okazało się, że wskutek rozszerzenia gospodarstwa wszechświatowego przesilenia zmniejszają się." cytatą ze słów deputowanego w parlamencie niemieckim *Herrnsteina*. Także autorytet! Pan ten może być bardzo sprytnym przemysłowcem (jest właścicielem wielkich garbarni nad Renem), lecz o jego pracach w dziedzinie ekonomiki nikt nigdy nie słyszał. Cytatą takiego frazesu parlamentarnego rozstrzygać zawiłą kwestyę ekonomiczną, to nie bardzo zgadza się z wychwalaną „gruntownością" niemieckiej nauki. Na poparcie przeciwnego poglądu, że rozwój zamiany międzynarodowej powoduje zwiększenie niebezpieczeństwa kryzysów, można przytoczyć cały szereg powag naukowych — Marks, Rodbertus, Wagner, Schultze-Gäwernitz itd. A przytem fakty ostatniej doby aż nazbyt dobitnie przemawiają: wojna handlowa pomiędzy Niemcami a Rosyą z roku 1893/94 spowodowała ciężkie przesilenie w przemyśle Szląska Górnego: bil Mac Kinleya spowodował przesilenie w przemyśle pończoszniczym Saksonii, przesilenie, z którego ten przemysł nigdy już się nie dźwignie; sama tylko pogłoska o tem, że amerykańskie trusty mają zamiar rzucić nadmiar swojej produkcyi żelaznej na rynki europejskie, wywołała przesilenie w przemyśle żelaznym Anglii, nagły spadek cen wełny w Australii spowodował przed kilku tygodniami straszny kryzys w przemyśle sukiennym Francyi. Inaczej też być nie może. Przemysłowcy, wytwarzający na wywóz, a nadto posługu-

*) Wydrukowane w *Verhandlungen des 8 evangelisch-sozialen Kongresses*. Gottingen, 1897.

*) Jest to również odczyt, wygłoszony w 1899 r. w Dreznie i wydany tamże 1900 r.

jący się materyałem surowym importowanym, muszą być zawsze przygotowani na to, że wszelkie kalkulacye ich mogą nagle okazać się zawodnemi wskutek zmian w cenie tego materyału, zmian w położeniu rynku pieniężnego, zmian w położeniu konkurującego z nimi przemysłu innego kraju eksportującego. Objaśnijmy rzecz na przykładzie: Niemiecki fabrykant drutu zaopatrzył się kontraktem w materyał surowy w walcowni niemieckiej, licząc na odbyt swego wyrobu do Rosyi, Włoch itd., przy kalkulacyi swojej liczył się z cenami drutu w Anglii. Nagle pod wpływem grożącej ze strony Ameryki konkurencyi, walcownie żelaza w Anglii zniżają ceny i w Rosyi i we Włoszech zjawia się drut angielski po cenie o 10% zniżonej: drut niemiecki nie znajduje odbytu, zniżyć zaś ceny przedsiębiorca niemiecki nie może, gdyż walcownie Niemiec, zabezpieczone cłem protekcyjnem, a nadto złączone w syndykat, nie myślą zniżyć swoich cen na materyał surowy; kryzys w fabrykacyi drutu jest nieodzownym. Takich przykładów, zaczerpniętych z życia, przytoczyć można bez liku.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

LITERATURA I SZTUKA.

Henryk Sienkiewicz.

(SZKIC JUBILEUSZOWY).

III.

Jako myśliciel w dziedzinie społecznej wystąpił Sienkiewicz z rozgłośnem swem dziełem: *Bez dogmatu*, i następnie, po krótkiej przerwie, z *Rodziną Połanieckich*. *Bez dogmatu* w postaci głównego bohatera i w filozofii jest wycieczką przeciw pewnym stronom współczesnej cywilizacyi i nauki, jest objawem coraz wyraźniejszego przechylenia się autora w kierunku haseł zachowawczych. Nie będziemy się tu wdawali w polemikę, ani nawet w ocenę estetyczną utworu. Poprzestaniemy na uwadze, że artyzm pisarza musielibyśmy podziwiać, a moglibyśmy wysłuchać dawanych nam nauk i przestróg, jeśli nie z wiarą, to ze skupieniem, gdyby postać Płoszowskiego była rzeczywiście ujęciem jakiegoś zjawiska życiowego, czy ukrytej w atmosferze dążności, w świetle myśli prawdziwie samoistnej. Ale rozkładowy wpływ krytycyzmu współczesnego na „dogmaty," samoanaliza jako czynnik wyczerpujący energię i w korzeniu podcinający zdolność do życia i odczuwania jego radości — wszystko to było do tego stopnia płodem obcej niwy, że głos ogółu bez wahania połączył dwa nazwiska: Sienkiewicza i Bourgeta. Większość miała w pamięci słynnego *Ucznia*. Greslou w wielu swych rysach jest przeciwieństwem Płoszowskiego, ale z dzieł obu pisarzy wykwitać miała ta sama idea, choć inaczej uzasadniona: konieczność cofnięcia się z drogi, którą wytknęła dla siebie myśl nowoczesna. Korzenie syntezy sienkiewiczowskiej tkwią nie w *Uczniu*, lecz (pośrednio, czy bezpośrednio) w pięknie napisanych, acz płytkich *Szkicach psychologii współczesnej* jego autora.

Widząc w Płoszowskim wytwór daleko posuniętej cywilizacyi i dlatego właśnie zbyt filigranowy i do ruchów samodzielnych nie przystosowany, autor musiał mu nadać nietylko wielką wrażliwość i nadczułość nerwów, lecz i wielką przewagę umysłu nad otoczeniem. Nieprzeliczoną ilość razy kusili się o to pisarze i zawsze niemal spotykał ich zawód. Przyczynę zrozumieć łatwo. By sprawić wrażenie odpowiednie, bohater taki powinien zaimponować nietylko osobom powieściowym, lecz i czytelnikom, a zatem wznieść się *ponad wspólną nam wszystkim atmosferę umysłową*. Sam autor musi być myślicielem, bo trzeba mu w usta stworzonej przez się postaci włożyć słowa, jeszcze przez nikogo nie wypowiedziane, jeszcze nie znajdujące się w obiegu... Z tego błędnego koła jest jedno tylko wyjście. Wyższość duchowa spotykanych przez nas ludzi wyraża się nie w jakiejś wielkiej syntezie, bo jest to udział geniuszu, lecz w uogólnieniach cząstkowych, w samodzielnem ujmowaniu zjawisk jednostkowych, w swoistem odczuwaniu pojedynczych linij świata duchowego lub zewnętrznego. A w każdym razie wielkość kreacyi zależna jest bezpośrednio od wielkości umysłu twórcy. Takie drobne rysy znajdują się tu i owdzie w *Bez dogmatu*. Mnie, przynajmniej, utkwiło w pamięci porównanie pewnych chwil naszego życia, czy pewnych stron naszej cywilizacyi do *causeries romaines*. Oto pięknie i subtelnie rozprawiamy o najwyższych zagadnieniach ludzkości, o kierunkach sztuki, o dziełach artyzmu... Bierzemy w tem nieraz udział gorący, wzruszamy się szczerze wymyślonemi postaciami i zdarzeniami... A tam gdzieś daleko pod nami huczy to morze życiowe, którego odbiciem jeno i obrazem powietrznym są owe postaci i zdarzenia... Źle jednak, że Płoszowski lubi np. pobijać społeczników wytartym, jak szmata żebraka, ogólnikiem o sprzeczności między ustaloną przez Darwina zasadą walki o byt a ideałami solidarności. Autor nie zawsze umie poprowadzić tę subtelną granicę, gdzie kończy się bystrość spostrzegacza a zaczyna się powszedniość, której wcieleniem jest chyba tęgi Połaniecki, dogmatowiec, przeciwstawiony filigranowemu p. Leonowi, uważany przez autora za wzór zdrowia fizycznego i moralnego. *Rodzina* — to powieść pełna świetnych kart satyrycznych, lecz niższa od innych swym polotem.

Podobnie jak idea dzieła rozsypuje się u Sienkiewicza często nakształt ziarn w luźne komentarze, jak obrazy jego rozwijają się w nieprzejrzany łańcuch plam barwnych, zarówno i uczucie rozkłada się w szereg podrażnień nerwowych. Znamy już właściwy talentowi Sienkiewicza rodzaj kolizyj dramatycznych. Podrażnienia, nagromadzając się, mogą sprawić przyjemność, mogą upajać, niekiedy przez zbytnie napięcie dręczyć: ale głębszych warstw duszy naszej nie wstrząsa jakaś spotęgowana, skupiona namiętność. W długim szeregu tak żywych a często sympatycznych istot, przez niewyczerpaną stworzonych wyobraźnię, niema jednak takich, któreby w sercu swem czuły iskrę prometeiczną. Jeden wyjątek tylko dostrzegamy; prawda taki, że za kilka kartek małych oddać można cały księgozbiór. Mówimy o *Latarniku*. Jest to jedno z arcydzieł piśmiennictwa naszego i szczyt twórczości nowelistycznej Sienkiewicza. Po za tem jednak bohaterowie jego nie pociągają nas żywą wiarą i miłością, nie *wmówioną* tylko przez autora, niema natur żywiołowo wyrywających się po za obręb swej istoty, niema tu Madzi, jak u Prusa, ani Klary, jak w *Pieśni przerwanej* Orzeszkowej. Sienkiewicz wogóle jakby broni się przeciw wszystkiemu. coby rozrzewnić mogło jego i czytelnika — czy tylko rozrzewnić? — coby nas pociągnęło miękkim urokiem. Oddawna już zapomniał o *Janku muzykancie* i o *Dzienniku poznańskiego nauczyciela*. Sam on niegdyś powiedział o sobie: uczułem niesmak od rzeczy, nastrojonych na kwintę zbyt cienko brzmiącą. Są tacy, co tłomaczą kierunek twórczości autora *Trylogii* tem przypuszczeniem, że nie mogąc pogodzić się z całym kolorytem mierności naszego życia współczesnego, musiał cofnąć się w przeszłość, by nasycić się widokiem wielkich czynów i wielkich duchów, by odetchnąć powietrzem tęższem i czystszem od naszego, węglowym przesyconego kurzem. Jakby na tle całkiem realistycznem nasza doba właśnie nie stworzyła świetlistej postaci Meira, lub wszechchrześciańską miłością wypełnionej duszy *Chama*. Sienkiewicz wprost nie posiada, jako dojrzały mistrz przynajmniej, nerwu współczesności i dlatego jej tragedyj odczuć w pełni nie potrafi. Nie dlatego, by zadowolić wymagania serca, lecz by zadość uczynić popędom swej wyobraźni, musiał on wychylać się jak najczęściej w egzotyczne krainy puszcz amerykańskich i stepów Afryki, lub otaczać się atmosferą wieków, które widziały rycerskie zapasy lub wielkie zbrodnie; te tylko dziedziny dostarczyć mu mogły widoków dość malowniczych i wspaniałych, odpowiednich jego zmysłowi artystycznemu. Spojrzyjmy np. na *Quo vadis*, które ma być, według tych i owych, apologią chrześciaństwa: Obraz świata pogańskiego, jak zwykle, jednostronny i bez perspektywy filozoficznej, jest przecież tak piękny i pociągający, że pamięć nasza odmawia swych usług, gdy chcemy wskazać coś równie barwnego, a tem bardziej coś wspanialszego. Natomiast pierwotny kościół chrześciański ukazuje się w zarysach bladych i niepewnych, czy to w pojedyńczych przedstawicielach, czy w zbiorowem swem tle. W cyrku były męczarnie ciał — i wiemy, jak to wyglądało; w łonie społeczności chrześciańskiej były tragedye dusz, i te są przed nami zakryte. Nie chcielibyśmy, by ta druga strona obrazu była równie jaskrawa, jak pierwsza; owszem, plastycznym pierwiastkom pierwszej niech będą przeciwstawione rozlewne, eteryczne, w szmer westchnień roztapiające się pierwiastki drugiej. Ale oczekiwaliśmy potężnego wezbrania uczucia, jakiegoś polotu nadziemskich uniesień, dalekiego echa tej pieśni, która się odzywa gorącą ekstazą w słowach Świętej Teresy, w pokutnej skardze Kasprowicza: Święty boże, święty mocny... Lecz Sienkiewicz... zwraca się do nieruchomej postaci z zagadkowym uśmiechem na twarzy i mówi: wieniec mi swój daj, Petroniuszu! I ma słuszność. On sam to w sercu swem czuje najlepiej, w jakiej dziedzinie jest prawdziwym, szczerym i wielkim artystą.

* * *

I oto teraz wkładamy mu na głowę wieniec. Ale uznanie zasług przekracza o wiele granice hołdu, złożonego u stóp artysty, jako *artysty*. Nie jubileusz pisarza obchodzimy, lecz nastało nam lato miłościwe, święcimy uroczystość narodową. Dlaczego? Czy że — jak ktoś powiedział — Sienkiewicz wziął w pierś swą teraźniejszość i przeszłość narodu? Nie, nie powiemy: *pójdźmy za nim!* — bo dokądże byśmy doszli? Lecz i nie wykrzykniemy: nie pozwalam! Głęboko — czy nie — rozumiał potrzeby swego społeczeństwa, zgorszenia mu nie dał. A jeśli wśród gromady, którą stanowimy, są jeszcze takie warstwy, do których jego pisma nie doszły, ubolewać tylko możemy. Do umysłu, do wyobraźni licznych rzesz jego tylko dzieła przemówić mogą i... „pokrzepić serca." Ale jeżeli poczuwamy się — powiedzmy to otwarcie — ze swego stanowiska do chłodniejszego, niż inni, zachowania się, i jeśli mamy łudzić się przypuszczeniem, że słowa niniejsze są oddźwiękiem myśli, będących własnością mniej lub więcej licznej garstki słuchaczy, wolno nam, boć także cząstkę narodu stanowimy, zapytać siebie: Co to się stało? Dlaczego jednego artystę nad innych wyniesiono?

Jednym z czynników, któremu w tym względzie przypadła rola wydatna, jest

sławą u obcych, u pobratymców zwłaszcza i w Ameryce, jako autora *Quo vadis.* (Niestety, tu przypominamy sobie, że współzawodniczy z Sienkiewiczem na polu sławy u rasy anglo-saskiej— Rudyard Kipling!). Jakkolwiek wieści mogą wyolbrzymiać istotną miarę uznania, jakkolwiek obcy pomników mistrzowi naszemu z pewnością nie wzniosą, okoliczność pomieniona oddziaływa na nas. Bądź co bądź, ów rozgłos po za granicami kraju ma swe podstawy we właściwościach dzieł pisarza, a przedewszystkiem jest poniekąd odbiciem fal u nas wytworzonych, aczkolwiek w dalszej kolei nasze własne uznanie dla artysty potęguje. Cudzy nie zoryentuje się w naszym domu, jeśli my sami wyróżnieniem swem nie podniecimy jego uwagi względem tego lub owego zjawiska. Niezwykła sława pisarza świadczy wymownie, że świetne strony jego talentu w oczach ogółu nieskończenie przewyższają te, które do ujemnych policzyć mamy prawo. Posunę się do paradoksu, że te ostatnie właściwości niemały też udział wzięły w wyniesieniu Sienkiewicza na tę wysokość, na której w powszechnem przekonaniu się znajduje. W obchodach tegorocznych uderza nas pewna ich urzędowość. Objawy tego rodzaju tkwią świeżo w pamięci naszej, nie potrzeba więc ich wymieniać. Wszędzie uroczystości jubileuszowe odbywały się pod przewodem sfer zachowawczych. A jeżeli nadto uwzględnimy szczery udział w obchodzie szerokich mas, to musimy chyba przyjść do wniosku, iż Sienkiewicz popełnił błąd, zatytułowawszy jeden z pierwszych swych utworów: *Nikt nie jest prorokiem w swej ojczyźnie.* Lecz któż jest prorokiem? I czy proroka naprawdę za życia uwielbią? Pamiętamy niedawny obchód Mickiewiczowski. Nawet w tym wypadku odezwały się głosy niechętne, szybko zresztą stłumione wzdymającą się falą uniesienia powszechnego. Uroczystością narodową na skalę olbrzymią był w swoim czasie jubileusz 50-letniej działalności Kraszewskiego. Naród uwielbił w nim świetny wzrost swej literatury, a jej Nestor, jeśli kiedy do walczących należał, wówczas już ze szranków wystąpił. W mniemaniu najgorętszych jego wielbicieli była to już lampa dogasająca. Przed prorokami chylą się głowy, ale gdy należą już oni do przeszłości, gdy to społeczeństwo, przed którem postępowali, jak słup gorejący, w całej swej masie wzniesie się na wyższy stopień rozwoju, kiedy hasła, przez natchnionych wygłoszone, wejdą w krew ogółu, więc staną się wartością historyczną. Lecz dopóki prorok gromi i karci, dopóki palcem dotyka krwawiących się ran, krzywdy maluczkich przed oczami pysznych kładzie, jedne pojęcia przeciwstawia innym, dopóki — według słów ewangelii — niesie miecz i spokój zakłóca — bo jakże inaczej mógłby być prorokiem? — dopóty budzi opór, dopóty wieńca na głowę mu nie położą. Po zwycięzkiej wojnie ukoronowanoby Jeremiego, bo wyrażał *już tkwiące* w narodzie i *przeważające* w nim dążności, bo popychał w tym kierunku, w którym *już istniał* rozmach. Innym byłby los Kisiela. Sienkiewicz pod pewnym względem jest Jeremim. Możeby tu wymienić raczej należało rycerza „niezłomnego" z *Niewoli tatarskiej.* Skądinąd uwzględnić trzeba żywotność popędów zachowawczych w naszem społeczeństwie. Niedawno na łamach *Prawdy* obliczono, jak szczupły odsetek pism, u nas wydawanych, do barwy postępowej przyznać się może; jest to wyraz oczywiście przekonań czy upodobań ogółu czytelniczego. „Wątpliwości są wrogiem ludzkiego spokoju — pisał Sienkiewicz w *Listach o Zoli* — „źle, gdy ich jest za wiele, źle, gdy za mało; w pierwszym razie ginie zdolność do czynu, w drugim — sumienie. Stąd odwieczna potrzeba *regulatora z zewnątrz.*" Pisało się to mniej więcej współcześnie z *Bez dogmatu.* Kto przypomni sobie Płoszowskiego, nawracanie się przedstawiciela *Rodziny Połanieckich;* lub apostołów na greckim Olimpie, nie zawaha się z wymienieniem owego *regulatora z zewnątrz.* Powieść Sienkiewicza — powiada hr. Tarnowski — jest „doskonałym wyrazem narodowej świadomości i narodowego ducha... A gdy mówimy *ducha narodowego,* to rozumiemy przez to i dodawać nie potrzebujemy, iż ten tylko jego wyraz może być prawdziwym i doskonałym, który jest równie wyrazem ducha *religijnego i katolickiego.*" A duch narodowy objawił się nietylko w stanowisku ortodoksalności, nietylko w „świadomości" narodowej, o której wspominaliśmy kilkakrotnie, lecz i w tem wszystkiem, co w duchu owym znajduje się w stałej równowadze: w łatwym do naśladowania wzorze, jakim jest Połaniecki, w tęsknocie tego ostatniego do „spokoju," w jego ideałach ziemiańskich, które urzeczywistnił, oddając Maryni Krzemień. Nie mógł Sienkiewicz, nie umiał być prorokiem, bo do ideału podnosił nie to, co ma być, lecz to, co jest. Ale poszczęścił mu wyrok przeznaczenia, bo oddając się jego przewodnictwu, odwrócić się możemy od nędzy dnia dzisiejszego... Ale poszczęściły mu potęgi niebieskie, bo oto wyobraźnia jego wyrzuciła z siebie szereg kształtów posągowych i szereg obrazów, zdobnych w przepych i szkarłat, we wspaniałość i grozę...

A. Drogoszewski.

EPOPEJA PSYCHOLOGICZNA.

Wiek XIX ma swego bohatera, który go jak najlepiej uosabia, jak najwymowniej wyobraża dążności jego i upodobania, nadzieje i rozczarowania, jego wzloty i upadki, tęsknoty i rozpacze, jest nim: *dusza ludzka...* Dokoła niej gromadzą się najwyższe zagadnienia naukowe i najżywsze interesy moralne; w niej szukają uzasadnienia swego potrzeby religijne życia i ideały estetyczne.

Mówiąc jednak o „epopei psychologicznej," nie mam tylko tego na względzie, że — jak to słusznie twierdzą niektórzy filozofowie współcześni *) — dzisiaj psychologia stoi w ognisku myśli i przenika we wszystkie dziedziny życia, że, słowem, po okresie fizyki i biologii zaczął się obecnie okres psychologii, czyli historyi naturalnej życia duchowego. Chodzi tu jeszcze o co innego, mianowicie o to, że rodzaj bohaterstwa ludzkiego i rodzaj tragizmu życiowego stał się bardziej wewnętrznym, psychologicznym, mniej dekoracyjnym i zewnętrznym. Tragizm życia całego skupia się w myśli i w sercu, słowem w „ja" ludzkiem, świadomem treści własnej, jej składu, możności, potrzeb i pragnień. To przeniesienie się punktu ciężkości życia do „ja" ludzkiego stało się możliwem z chwilą, gdy doszło ono do większego poznania siebie samego, osiągnęło wysokiego stopnia świadomości, a to wszystko właściwie, w naszym dopiero czasie następuje. Filozoficzne i moralne tendencye wieku świadczą o tem wymownie. W naszej epoce dopiero coraz głębiej przenikają się ludzie tem mniemaniem, że „świat jest naszem wyobrażeniem," że „wszelka materya jest nam dana tylko jako wyobrażenie," jako stan naszej świadomości; wśród nas największej wyznawców znajduje wiara w to, że w duszy rzeczy rodzą się i umierają, że w niej one żyją prawdziwie, a wszystko, co stoi po za nią, jest tylko dekoracyą znikomą; dla nas wreszcie dusza stała się najwyższą ciekawością, a stąd nieraz i największem rozczarowaniem. Życiu przybywają nowe wysiłki, dusza wchodzi w okres stanowczej walki z sobą samą, nowe klęski spadają na człowieka: wszystko to wymaga odmiennych środków i uzdolnień do walki z tem, co bytowi zagraża — innego rodzaju bohaterstwa. Pierwotne bohaterstwo mitologiczne jest przedewszystkiem zewnętrznem, bohaterowie mitologiczni walczą z naturą zewnętrzną, z jej niszczącemi potęgami. Tragizm świata klasycznego wyrażony choćby w micie o Prometeuszu albo tragedyach greckich, polega na bezsilności człowieka w walce z *fatum* nieubłaganem, jest protestem duszy wobec przeznaczenia. Tu dusza ludzka nie ma żadnej świadomości tego, że walczy z sobą samą, siły więc jej wrogie, którym ulega, traktuje jako coś zewnętrznego. Etyka starożytności, na takiem pojmowaniu źródeł złego oparta, znajduje swój najwyższy wyraz w stoicyzmie, w poddaniu się dobrowolnem konieczności, niezmiennemu porządkowi świata. Jest to bohaterstwo czysto intelektualne, człowiek godzi się rozumem z tem, co jego istota moralna odpycha i nie uznaje, nad czem zapanować nie jest w możności. Rozum jest tu utożsamiony z cnotą (jak np. w nauce Sokratesa); on też na wszystko daje zezwolenie, zarówno na życie, jak i na śmierć, na cały porządek świata. Na takich wyżynach pogody i zrównoważenia walka duszy właściwie ustaje. Filozofia chrześciańska nie daje wprawdzie przyzwolenia na porządek świata zewnętrznego, ale go się wyrzeka zupełnie i oddaje „dyabłu." W tym okresie dusza ludzka nie walczy również z sobą, z tem, co jest istotą, ale z ciałem, z naturą, słowem z czemś, co jest na zewnątrz duszy, z jej naleciałością. Kto więcej w tym kierunku dokonał, kto bezwzględniej oczyszcza duszę z tych naleciałości świata zewnętrznego, kto łepiej ją chroni od wtargnięcia obcych żywiołów, tem więcej ma zasług, tem większy jest stopień jego bohaterstwa. W tym wypadku jest ono bardziej biernem, niż czynnem. Na drogę bohaterstwa czynnego wchodzi dusza właściwie z chwilą, gdy, nie godząc się ze światem zewnętrznym, ani go się wyrzekając, zaczyna się z nim jednoczyć, kiedy go zdobywa, wciela w siebie, pochłania jego niszczące potęgi, słowem przekształca wciąż w sobie ów świat zewnętrzny. Wówczas dopiero otwiera się dla niej pole do ustawicznej walki z sobą samą, z wrogiem wewnętrznym, którego już ani wyprzeć się, ani wyniośle traktować niepodobna, gdyż substancyą swoją i pochodzeniem nie różni się on od „ja" walczącego. Dawniej można było odwoływać się i liczyć na pomoc jakichś potęg zewnętrznych, których względy mogła dusza zjednywać rozmaitymi sposobami, obecnie jest dusza pozostawiona samej sobie, własnym wysiłkom i zasobom energii duchowej.

W takiej sytuacyi znalazła się dusza w najnowszej dobie rozwoju ludzkości; jest to wynikiem życia duchowego kilku ostatnich wieków. Wierzenia i pojęcia epok dawniejszych umożliwiały bardziej pewne, mniej groźne sytuacye. Dawniejszy dualizm pozwalał na odgraniczenie zupełne świata zjawisk od świata absolutu, idei od faktu: z jednej strony stał świat ideału, z drugiej świat znikomych zjawisk i pozorów; pomiędzy niemi rozbrat zupełny, przepaść nie do przebycia, dla duszy ludzkiej, w jej postaci ziemskiej przejściowej. Ale mogło to nastąpić z chwilą, gdy zrzuci ona z siebie swą powłokę tymczasową, wówczas zlewa się ze swoim pierwowzorem, wciela się w kształt wieczysty. Może do tej chwili tęsknić, może się udręczać swą niedoskonałością przejściową, ale zawsze ma obietnicę bytu doskonałego, może przewidywać kres swoich tęsknot i udręczeń. W na-

*) Patrz choćby H. Munsterberga: „Nauka w stosunku do sztuki i życia."

szej epoce, przepaść rozdzielająca dwa światy powyższe, zostaje gorliwie zasypywaną, nie zmniejsza to wszakże ciężaru duszy, owszem, obarcza ją większym jeszcze. Doszliśmy do uznania tej prawdy, że świat ideału i świat pozorów wzajem się przenikają, że ideał znika i marnieje, nie mając podstawy konkretnej w rzeczach zewnętrznych, że słowem w próżni istnieć nie może; przekonaliśmy się również, że rzeczy zewnętrzne o tyle tylko są prawdziwie realnemi, o ile idea, uczucie, akt twórczy duszy zrozumie je, przekształci i zorganizuje. Podwójna i nielada praca dla duszy! Znosić wciąż, gromadzić i utrzymywać w sobie materyał niezbędny do złożenia ideału, nadto wciąż materyał ten przekształcać i ożywiać własnym wysiłkiem. Dusza zamknięta w granicach fenomenu, w obrębie własnych stanów świadomości, ma urzeczywistniać na ich podstawie świat ideału, bez nadziei oglądania wyników swej pracy i jej kresu. Ile w tej pracy, w tem uświadamianiu sobie swoich przeznaczeń, zebrała zawodów, ile zawiedzionych ciekawości rozbudziła w sobie do samej siebie, jak się opierała własnym potęgom niszczącym, przez jakie przełomy przechodziła, o tem dzieje uczuć i myśli rozmaitych myślicieli naszego zwłaszcza stulecia, najlepsze mogą nam złożyć świadectwo.

Zatrzymajmy na chwilę uwagę naszą na jednym z tych myślicieli naszego wieku, którzy dają budujący przykład niezłomności i szlachetnej bezinteresowności w pracy ducha; mam tu na myśli H. Taine'a. Nie tragiczniejszego nad to usposobienie, z jakiem rozważa wielki pracownik wyniki i charakter pracy własnego ducha. „L'essentiel — powiada H. Taine — est de creuser son sillon ou sa fosse, le reste est indifférents." (Kopać swój dół albo bruzdę swoją, oto co jest zasadniczem, reszta jest obojętnem). Wszystko więc polega na działaniu bez względu na jego formę i pobudki; cała wartość pracy ściąga się do czynności automatycznej, która bez względu na swoje cele, wyniki i motywy ma w sobie samej najwyższe uzasadnienie. Wysiłek ducha, bez radości, bez nadziei, bez wiary w jego pożytek i skuteczność, przyjęty jako jedyny obowiązek. Dusza tu wchodzi w wielką kolizyę z sobą, walczy nieustannie z sobą; nie mając zaufania do pracy własnej, pracuje tak, jakby tem zaufaniem wciąż się utrzymywała w ruchu, pozbawiona w istocie bodźców takich, jak radość i entuzyazm, wysila się tak, jakby temi uczuciami wciąż była poruszana.

Doprawdy, trzeba posiadać niemały zasób bohaterstwa, żeby, wyznając jak Taine, że religia i nauka na chwilę tylko mogą uśmierzać wieczysty niepokój człowieka, że użyteczność ich jest pozorną i stanowi jedno z tych złudzeń, które umysł ludzki obraca w niwecz, gdy je głębiej przenika — żyć i trudzić się tak jak on, nie zmniejszając hartu duszy, nie dając się opanować zniechęceniu. Sądzimy również, że osławiona „ironia" E. Renana nie była tylko wesołem kpiarstwem, nieustającą drwiną, wobec nieśmiertelnych zagadnień ducha, że w niej wyrażały się tragiczne usposobienia duszy, która wciąż się wysila, by bez odwoływania się do pomocy jakiejś woli szczególniejszej, kierującej biegiem świata, nie zachwiać się wśród złudzeń i niepewności życia, nie zapaść w otchłań zwątpienia i sprzeczności wszelakich. Nie mamy prawa podejrzywać myśliciela tej miary, co E. Renan, o chęć obracania wszystkiego w płaski żart, jego praca sumienna i bezobłudna, szczere i rzewne wyznania, jakie poczynił, dotykając swego życia ścisłego (p. np. *Feuilles detachees, Souvenirs d'enfance et de jeunesse*), zmuszają nas do tłomaczenia jego ironicznego stanowiska wobec świata i jego przyczyny, nietylko tą chęcią wydobycia się z trudnego położenia za pomocą drwiny i bagatelizowania tego, co jest tajemnicą życia. Autor wspaniałej „Modlitwy na Akropolu" nosił w duszy swojej emocyonalne i intelektualne pierwiastki niepokoju i rozdwojenia, a spragniony był pogody i równowagi, bronił się więc nieustannie od wroga wewnętrznego, wymykał się wciąż z sieci i w walce tej nabrał najwięcej zaufania do ironii. Mówiąc np., że ponieważ natura wciąż płata nam figla i każe brać złudzenia za rzeczywistość, więc my ze swej strony róbmy to samo i nie bierzmy jej na seryo (p. *Feuilles detachees* itp.), mógł mieć bardzo wesołe oblicze... można jednak podobne rzeczy mówić, a mimo to czuć otchłań pod nogami. A jeżeli uczuwali ją pod sobą tacy, jak H. Taine i E. Renan, którzy na mocy wrodzonej ciekawości albo przez poczucie obowiązku pracy zwracali się przedewszystkiem do przedmiotów świata zewnętrznego, niezbyt się zatrzymując na „ja" własnem, to cóż mówić dopiero o tych, którzy głównie w obrębie „ja" tego życie swoje duchowe zamknęli, dla których było ono najwyższą ciekawością, przedmiotem nieustannego badania. A takich niemało stulecie nasze posiada. Tu nie wszystkim siły duszy dopisują, a osiągnięta „świadomość — świadomości," zdobyta ciągłem oraniem i przeorywaniem pola duszy, lemieszem analizy, utrudnia jej walkę z naciskającym na nią światem czuć i wyobrażeń, uniemożliwia jej organizowanie i przekształcanie tej treści świata zewnętrznego, która ze wszystkich stron wdziera się do niej. Co tu wysiłków nadaremnych, ile klęsk, zniechęceń, upadków i poniżeń na tej drodze duszy, usiłującej posiąść *jedność* własną, utrzymać spójnię ideału z rzeczywistością."

(D. n.).

Wł. Jabłonowski.

KSIĄŻKI DLA DZIECI.

Zwierzyniec wiejski. — Wesołe wakacye. — Powiastki czerwonego kapturka — Bajeczki kotka Mruczka. — Baśnie polskie. — Szwoleżer Stach. — Czytajcie, dzieci! — Motyle.

Kilka książek dla samego maleństwa z obrazkami jaskrawo kolorowanymi, tak jak to lubią małe dzieci, których oczy przyciągają żywe barwy, z dodatkiem kilku wierszy Or-Ota bardzo nieraz wdzięcznych, choć prostych, wydała księgarnia K. Treptego. Or Ot umie naginać swoją fantazyę do potrzeb, radości i smutków dziecięcego wieku; umie mówić bardzo prosto o rzeczach pięknych i wzniosłych, zapalających wyobraźnię i budzących duszę dziecka; a także nic nie powiedzieć, tylko w kilka muzykalnych wierszyków wlać tyle jasności, wesela i wdzięku, że każdy z nas z najwyższą przyjemnością poszedłby do takiej gromadki figlującej, rechoczącej dziatwy, by choć chwilę z nią pobyć. Książeczki przytem są bardzo tanie, po 20 kop.

W *Baśniach polskich* (serya I) tenże sam autor opowiada historyę Twardowskiego, zbója Madeja, dyabła Boruty itd. — wszystko, zdaje się, rzeczy znane, które w opowiadaniach niańiek i mamek poznaliśmy niegdyś wszyscy, a którym forma poetyczna i śliczny język daje dziś urok nowości.

Tych zalet nie posiada powiastka Przyborowskiego, *Szwoleżer Stach*, wydana prze tę samą firmę. Nie odznacza się ani pięknością barwy, ani świeżością obrazów, a można jej wiele zarzucić pod względem pedagogicznym. Poprzestaniemy na wytknięciu jednego tylko błędu: Czy godzi się idealizować w oczach dzieci najazd, podjęty w celach brutalnego gwałtu z podeptaniem wszystkich praw sprawiedliwości i słuszności? A taką przecież była wyprawa Napoleona I na Hiszpanię. Nic mamy się co szczycić udziałem naszym we wzięciu Samosierry, bośmy przyłożyli rękę do złej sprawy, niegodnej imienia polskiego.

P. Jadwiga Warnkówna nie omieszkała i w tym roku obdarzyć nas zbiorkiem powiastek (*Czytajcie, dzieci!* — wydanie Sadowskiego) dla małych dzieci, bardzo jeszcze nierozwiniętych i bardzo niewymagających dziatek, których życie dziwnie zacieśnione, ubogie we wrażenia i wypadki, odbija się w tej książce jak w zwierciadle. Nie wniesie ona nic nowego do duszy dziecka, nie zapali w niej żadnego światełka, ale rozdmuchać może niejedną tlejącą już iskierkę — jeżeli zajmie czytelników, dla których jest pisana.

Pożyteczną pracę ofiarował dzieciom p. Wł. U., *Motyle*, zaopatrzywszy ją we wskazówki praktyczne co do zbierania i kolekcyonowania tych owadów (wydanie Dubowskiego). Książeczka niewielka, a zawiera sporo wiadomości cennych dla młodych zbieraczy. Polecamy ją tym, którzy w lecie wybierają się na wieś.

KALENDARZE.

Kalendarz Ungra. — Powszechny — Maryański. — Przyjaciel Rodziny. — Święta Rodzina. Lubelski. — Pogotowia.

Nasze kalendarze odznaczają się dziwną nieśmiertelnością typu swego: zawsze ten sam dowcip, trochę wątpliwy pod względem etycznym i estetycznym, ta sama literatura powieściowa, wydzielająca z daleka woń piżma, zmieszanego z jakimś, dziwnie kuchnię przypominającym zapachem i cokolwiek wiadomości niby praktycznych, ale w praktyce z dużemi poprawkami tylko stosować się dających. Po za tem trochę geografii, trochę kosmografii, sporo adresów, dużo ogłoszeń — tak było przed pięćdziesięciu laty, tak jest dziś i tak może byłoby jutro, gdyby nie Pogotowie, które panom wydawcom wypłatało figla i wystąpiło z takim kalendarzem, jakiegośmy jeszcze nigdy nie widzieli. Księga gruba, 654 stronic druku, za 1 rub.; a w tej księdze mnóstwo materyału opracowanego i zebranego, jak widać, niezmiernie starannie, sporo informacyj bardzo pożytecznych i praktycznych — treściwy zbiór tego wszystkiego, co w życiu potrzebnem być może. Są błędy i niedokładności, naturalnie, ale te nie psują dobrego wrażenia, jakie całość sprawia. Doprawdy, pierwszy to kalendarz u nas po europejsku wydany.

POEZYE

Z „Pieśni Dorohowickich." Cykl „Ludzie."

WIECZORNICA.

Płoną głównie na kominie,
Parska płomień smolnych drzazg,
Cicho płynie czas drużynie,
Twarze złoci ognia blask. —
Chłopskie dzieci, pańskie dziecię
Siedzą w kółko, łuszczą groch;
Baśń cudowna dziwy plecie,
Śmiech wyzywa albo szloch.
Czasem mak znów lub fasola
Gradem w dzbany lecą z rąk,
A tam rwie się myśl sokola,
W zimie widzi kwiaty łąk,
Ognie w polu i noclegi,
Ruń rosnącą, zieleń kniej —
Gdybyż prędzej przez te śniegi!
Gdybyż w pole! w las! w świat hej!
To znów czary i znachory,
Znów rusałka czesze włos...
A z cmentarzysk mkną upiory...
Strach—aż drży bajarza głos...
Stoi w kącie kołowrotek,
Z Babki starej bladych warg
Rwie się jakaś z dawnych zwrotek,
Pełnych chwały, łez i skarg.
Mróz — w kominach wichrów gwara,
W ciepłomierzu spada rtęć...
Snuj się, snuj się nutko stara,
Kołowrotku kręć się, kręć!

Cicho płynie czas drużynie...
Co tam wichrów sroga waśń?
Wieczór minie, życie spłynie —
Z sercem pójdą pieśń i baśń.
Serce dziecka szczerozłota
Tu opłącze podań nić,
Marzeniami skroń omota,
Swe haszysze da mu pić.
W krew mu wsiąknie, w serce, w żyły,
Aż – gdy przyjdzie grobu cieśń —
Duch szlak przejrzy do mogiły:
Co go wiodło? — baśń i pieśń.
Jak orłowych skrzydeł dwoje,
Pieśń dziejowa i baśń z chat
Niosły duszę w światy swoje,
W swych ukochań i wiar świat.
Cóż, że struta żółcią czara?
Że skroń krwawa od klęsk cięć?
Szara rzeszo, chato szara,
Wiosno dziecka, święć się, święć!
Siwowłosa, z jasnem czołem,
Palce topi w srebrnym lnie,
Kołowrotek pędzi kołem,
Pieśń i nitka razem mknie.
Do jej kolan — rozmarzony —
Ja przytulam głowę mą —
Śpiewaj, śpiewaj, Babko stara!
Kołowrotku, kręc się, kręć!
Coraz prędsza, prędsza miara
Dziecięcego serca drgnięć —
Śpiewaj, śpiewaj, Babko stara,
Kołowrotku kręć się, kręć!
Przeszło. W pustym błądzę domu
Sam, jak upiór dawnych lat;
Nie z młodzieńczych snów ogromu,
Prócz goryczy ciężkich strat.
Monotonnie zegar cyka,
Wyje mroźny wiatr śród pól;
Zgodna wichrów surma dzika
I bezmierny serca ból.
Wtem—ot, w kątku blada mara—
I zawołać czuję chęć:
Śpiewaj, śpiewaj Babko stara!
Kołowrotku, kręć się, kręć!

Adam M—ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OGNISKA PROWINCYONALNE.

Królestwo Polskie w ciągu ostatnich trzech lat zdobyło się na kilka instytucyj, ogniskujących w sobie sprawy rolnictwa naszego. Są to gubernialne towarzystwa rolnicze, czyli syndykaty, których program obejmuje przeważnie zadania praktyczne, kwestye żywotne bieżące. Jakkolwiek podział tych zadań w granicach administracyjnych jest dziwnym i nie zawsze właściwym, jednakże działalność nowych organów już się zaznaczyła i zasługuje na podkreślenie. Wykazały one pewną czujność, ruchliwość i znajomość potrzeb istotnych danego terytoryum. Takich organów dotychczas brak nam był wielki.

Sekcya rolna, na mocy swej ustawy podnosi, roztrząsa i przeprowadza tylko sprawy teoretyczne. Nadto, nawet i pod tym względem nie mogła ona zaspakajać wszystkich potrzeb kraju, jako organ zbyt szczupły, jako cząstka i odłam większej instytucyi. Przez długi czas liczyła zaledwie 200 członków i dopiero teraz, dzięki silnej agitacyi, liczba ta się podwoiła. Pomimo to sekcya nie mogła stworzyć należytej łączności wszystkich ziemian w całym kraju, nie mogła zbadać i poznać wszystkich potrzeb i braków, oświetlić ich należycie i przedsiębrać środków zaradczych. Zresztą kraj odczuwał brak gruntu praktycznego, takiej organizacyi ekonomicznej, którąby wglądała w życie i zaspakajała jego najpilniejsze potrzeby. Tymczasem to życie tętni coraz szybciej i zatacza coraz szersze kręgi; jednostka ziemiańska w granicach swego folwarku nie może już istnieć, lecz musi się wcielić do organizmu zbiorowego. Produkcya przetwórcza, podniesienie hodowli bydła i koni, badania nad sposobami i środkami ulepszenia gruntu, walka z klęskami żywiołowemi i szkodnikami, wielkie melioracye rolne, unormowanie handlu krajowego i stosunków rynkowych z zagranicą, reglamentacya prawna stosunków ekonomicznych, środki zniżenia kosztów produkcyi — to są wszystko takie zadania, które można przedsiębrać tylko siłami zbiorowemi po wszechstronnem zbadaniu i oświetleniu każdej sprawy.

W ostatnich czasach właśnie we wszystkich dzielnicach kraju wysunęły się na porządek dzienny: melioracye rolne, wynalezienie taniego materyału opałowego, hodowla bydła rasowego, stacye rozpłodowe koni, organizacya stacyj rolnych doświadczalnych w różnych dzielnicach kraju, wywóz spirytusu do Szwajcaryi, stosunki handlowe z intendenturą wojskową, sprawy celne na granicy niemieckiej, uregulowanie stosunków pomiędzy najemnikami a zarobkodawcami itd.

Sprawa hodowli bydła szczegółowo była traktowana w Lublinie i Kaliszu. Wogóle zaś pod tym względem i wielu innymi znaczną ruchliwość wykazało Towarzystwo rolnicze kaliskie. Tak np. osobna delegacya hodowlana opracowała statut Spółki hodowlanej kaliskiej bydła rasowego (autorowie: pp. W. Garczyński, St. Radoński, F. Walewski, Ad. Weigt i W. Wyganowski). Oto zasadnicza treść tej ustawy: Celem spółki jest dojście do jednolitego mlecznego bydła czarnosrokatego, typu nizinnego. Do spółki należeć może każdy właściciel, dzierżawca lub kolonista. Każda z krów wybranych musi przejść szczepienie tuberkuliną w obecności komisyi, złożonej z członka zarządu i weterynarza. Krowy, uznane za odpowiednie do spółki hodowlanej, muszą być naczechowane stosownym znakiem, dokładnie opisane i wciągnięte do ogólnej księgi zarodowej. Stanowią one pierwszą generacyę matek, jako podstawę spółki. Przychówek po krowach tych stanowić będzie drugą generacyę, z której komisya wybierze sztuki, zasługujące na zaliczenie do zarodowych; byczki i jałoszki sprzedawane będą jako zarodowe kaliskie. Ceny odpowiednie naznacza komisya. W tym celu młodzież jest szacowana przez komisyę. Ceny, od których bezwarunkowo odstępować nie można, naznacza na każdą sztukę komisya, przy udziale właściciela danej obory. Tuberkulum sprowadza zarząd spółki co rok z instytutu Pasteura w Paryżu, celem stałego badania corocznego obór wspólników. Wszelkie uchybienia przeciw zasadom spółki, fałszywe podawanie ilości nabiału, niestosowanie się do cen sprzedażnych, naznaczonych przez komisyę (drożej sprzedać wolno) powoduje wykluczenie raz na zawsze z listy członków.

Już tych parę szczegółów ze statutu daje dostateczne pojęcie o podstawach organizacyi, jakiej dotąd nie mieliśmy wcale.

Sprawą podniesienia hodowli bydła wogóle zajmują się wszystkie towarzystwa rolnicze, które przez delegatów swoich na posiedzeniach sekcyi rolnej w Warszawie składać będą sprawozdania o stanie i postępach hodowli, naradzać się nad tem, jak działać w przyszłości, ażeby podnieść obory i mleczarstwo krajowe. Ważne tu ma znaczenie myśl organizacyi inspektorów objazdowych, celem śledzenia postępu hodowli i nadawania jej właściwego kierunku. Klasyfikacya obór, opracowanie instrukcyi dla hodowców i norma kwot, wnoszonych na opłatę inspektorów objazdowych będzie przedmiotem narad delegacyi hodowlanej przy lubelskiem Towarzystwie rolniczem. Wogóle z 25 delegatów towarzystw i spółek rolniczych w kraju wybrano komisyę, złożoną z pp.: Stanisława Czekanowskiego, Tadeusza Kossaka, Gustawa Wieniawskiego i Bohdana Zaleskiego, którzy latem r. b. odbyli kilka posiedzeń i opracowali program działalności.

Z innych spraw ogólnych, któremi się żywo zajmują prowincyonalne towarzystwa rolnicze, jest kwestya robotników i oficyalistów wiejskich. Towarzystwo kaliskie przedewszystkiem zajęło się kwestyą środków zaradczych przeciwko brakowi robotników. Znamienne jest oświetlenie tej sprawy przez jednego z ziemian (w *Gazecie kaliskiej*): „Lud unika podwładności, wzdycha za niezależnością, jest chciwy na mienie i dla pozyskania tych warunków rzuca się na wędrówkę zarobkową po świecie, opuszczając zarobek na miejscu. Nie zrażają go zawody. Straty na dzisiejszej wędrówce ma nadzieję odbić w dwójnasób jutro. Przytem włóczęga po świecie daje swobodę i pewną niezależność. Praca trwa przeważnie tylko latem, zima przynosi odpoczynek i możność wygodnego i próżniaczego przejadania oszczędności letnich. O obowiązku pracy na rodzinnej ziemi robotnik-wychodźca nie myśli. Tu ma żywot twardy i szary do końca, bez nadziei wybicia się na wierzch drogą zaoszczędzania, tam — widoki karyery w postaci i większych zarobków i prawdopodobieństwa oszczędności.“

Tak się zapatruje i tak ocenia żywiołowe zjawisko społeczno-ekonomiczne szlachcic polski! Jak widzimy, chodzi mu nie o położenie chłopa - wychodźcy, lecz o to, żeby ten chłop pozostał i oddawał swe mięśnie na usługi dworu. Ponieważ jednak dwór coraz bardziej przychodzi do przekonania, że ani złudnemi obietnicami, ani namową, bez zmiany warunków obecnych, nic zdziałać nie można, więc postanowił pogodzić się z losem i gwoli własnych interesów zatroszczyć się o naprawę bytu robotników wiejskich. Jest to całkiem typowy objaw ze strony sfer zarobkodawczych i byłoby nawet śmiesznem oczekiwać od nich jakichś pobudek sentymentalnych.

To też ze stanowiska interesów dworskich towarzystwa rolnicze i pojedyńczy właściciele ziemscy rozważają w ostatnich czasach sprawę uregulowania warunków pracy robotników wiejskich. Szlachcic w *Gazecie Kaliskiej* nawet podaje projekt stworzenia jakiejś organizacyi w rodzaju emerytury. „Nasz dworski człowiek jest obarczony liczną gromadą drobnych dzieci, bo dziś tylko taki szuka, a raczej my go szukamy na służącego; nic nie odkłada lub bardzo mało w wyjątkowych razach, gdyż żyjąc z gotowego, nie umie ordynaryi zaoszczędzić.“ Ażeby robotnikiem skuteczniej się zająć, należałoby mu powiększyć płacę. Wnioskodawca ma na myśli tych, którzy przesłużą bez przerwy np. do 60 roku życia. „Włościanin, zachęcony zapewnieniem mu wygodnej starości, stale służyć będzie i w ten sposób zapewniamy sobie wierniejszego i pilniejszego w pracy robotnika. W takich warunkach 10 służących zastąpią co najmniej 11, zatem w takim razie możemy ofiarować na emeryturę koszty utrzymania jedenastego, a dla łatwiejszego poniesienia tego wydatku można utworzyć tak zwane „emerytki“ z kilku mórg ziemi, zaopatrzone w mieszkanie i utrzymanie dla krowy. Mając emeryta, można go jeszcze użyć do pewnych zajęć za odpowiedniem wynagrodzeniem.“

Czy ten projekt ma podstawy praktyczne? Czy dałby się urzeczywistnić w całej rozciągłości? Wszakże istnieje kasa dla pracowników rolnych, która przyjmuje składki, zaczynając nawet od 15 kop. miesięcznie. Niech ziemianie postarają się o rozwój tej instytucyi. Sprawę tę już kil-

kakrotnie poruszano, ale nie wyczerpano całkowicie na posiedzeniach Towarzystwa rolniczego w Kaliszu. Warto, ażeby ją gruntownie zbadały wszystkie organy rolnicze w kraju za pomocą delegacyj połączonych. Przyszłoby to tem łatwiej, że taka łączność już istnieje we wszelkich innych sprawach, zwłaszcza czysto handlowych. Tak np. przedstawiciel Towarzystwa kaliskiego, p. Tymieniecki, oraz dyrektorowie handlowi Towarzystwa warszawskiego, p. Ignacy Jurski i siedleckiego, p. Leon Szeliski, udali się wspólnie za granicę i uzyskali ustępstwa w cenach: na żniwiarkach o 30 rb., na drylach o 15 rb., na nawozach sztucznych o 20%. Obecnie również odbywają się wspólne narady w sprawie urządzania prowincyonalnych wystaw przemysłowo-rolniczych.

Wogóle wszakże ta łączność nie doszła jeszcze do takiej ścisłości, ażeby mogła ułatwiać badanie ogólniejszych zjawisk społeczno - ekonomicznych i obmyślanie środków naprawy położenia obecnego. Towarzystwa w tej mierze często działają osobno i skutkiem tego w pracach ich daje się spostrzegać niejednokrotnie pewną rozbieżność. Otóż dla jej uniknienia, zwłaszcza w sprawach natury ogólniejszej, gdy np. chodzi o wyjednanie pewnych zmian i zarządzeń prawnych, dotyczących nietylko stosunków krajowych, lecz i zewnętrznych, musi istnieć organ główny. Organem takim, nadającym jednolitość pracy tego rodzaju powinna być warszawska sekcya rolna, która obecnie po stworzeniu towarzystw rolniczych na prowincyi jeszcze bardziej wyróżnia się swoim charakterem teoretycznym. Na grudniowem posiedzeniu (dnia 10-go) odbyły się właśnie nowe wybory. Na prezesa powołano p. Stanisława Chełchowskiego. Nowy kierownik głównej instytucyi ziemiańskiej w kraju jako człowiek młody, bardzo energiczny, wykształcony i zdolny, potrafi niewątpliwie nadać sekcyi charakter takiej instytucyi sterniczej, zwłaszcza, że w przemówieniu swojem zaznaczył wyraźnie program działalności w tym właśnie zakresie. Prowincyonalne towarzystwa rolnicze, obok swojej działalności czysto praktycznej, powinny być instytucyami pomocniczemi w dostarczaniu materyału bezpośrednio z życia, ze wszystkich zakątków kraju; powinny przedstawiać wszelkie potrzeby najpilniejsze, a sekcya rolna z tego materyału będzie tworzyła ogólny plan działalności, ogarniający kraj cały. Opracowując memoryały gruntowne, będzie w pewnych razach rzeczniczką ziemian wobec sfer prawodawczych, wreszcie będzie organizatorką pracy zbiorowej. Pod takim ogólnym kierunkiem ogniska prowincyonalne powinny rozwinąć pracę owocną. Obecnie walczą jeszcze one z wielu trudnościami, a między innemi nawet z obojętnością samych ziemian. Tak np. na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego w Lublinie p. Maksymilian Dobrski zaznaczył smutny i znamienny objaw, że *poważna większość* ziemian w gub. Lubelskiej nie czuje się w obowiązku przystąpienia do Towarzystwa. Na *tysiąc* właścicieli ziemskich liczy ono obecnie tylko 165 członków; a nawet i ci nieliczni bardzo powoli wnoszą sumy na pokrycie udziałów. Skutkiem tego Towarzystwo z braku funduszów, rozwijać się nie może.

Zen. Piet.

O prawdę.

Odpowiedź p. W. Jezierskiemu.

Zdaje mi się, że nie może podlegać dyskusyi prawidło gramatyczne, na zasadzie którego mówimy: *członki* organizmu i *członkowie* stowarzyszenia, *przodki* (przednie części) wozów, zwierzęce — a *przodkowie* konia, paproci, gąbek itd., rozróżniając w ten sposób rzeczowniki zmysłowe od umysłowych — pojęcia rzeczy od pojęć stosunków. Nie należy mówić także *jurscy przodkowie*, lecz *jurajscy* lub *jurasowi*, ponieważ przymiotnik ten pochodzi od rzeczownika „Jura“ (Gota — Gotajski, Jena — Jenajski, a nie Gocki i Jeński), nie może więc być formowany jak „górski“ od „góra.“

K. Ch.

NA MARGINESIE.

Winy misyonarzy. Brandt, były poseł niemiecki w Pekinie, polemizuje z *Christliche Welt*, ostro krytykując w *Nat. Z.* działalność misyonarzy, zwłaszcza protestanckich, w Chinach. Zarzuca im brak miłości chrześciańskiej i taktu w postępowaniu z Chińczykami, i w głównej mierze czyni odpowiedzialnymi za obecne rozruchy i powszechną nienawiść do cudzoziemców. Dowodzi, że choćby teraz porządek i spokój zostały przywrócone, należy wkrótce spodziewać się nowego i stokroć groźniejszego wybuchu, jeśli się nie zmieni sposób postępowania misyonarzy z miejscową ludnością. Wzajemne stosunki misyj katolickich i protestanckich nie przyczyniają się także do obudzenia w Chińczykach poszanowania dla religii chrześciańskiej.

Zwracając się do redaktora *Christliche Welt* zapytuje Brandt: coby zrobił on i inni, gdyby na mocy gwałtem narzuconej ugody buddyści zaczęli w Niemczech wznosić świątynie i domy na miejscach uświęconych wiarą ludu, na wszystkich rogach ulic wygłaszać kazania w bardzo złej niemczyźnie? Niewątpliwie, ludność niemiecka stawiłaby opór najeźdźcom, a on sam piórem i słowem walczyłby przeciw żółtym misyonarzom. A jakie byłyby objawy tej walki, świadczyć mogą obecne wybryki antysemityzmu w Niemczech.

Brandt twierdzi, że skargi, pretensye i zażalenia misyonarzy na Chińczyków sprawiają niemało kłopotu poselstwom i konsulatom w Chinach, że ustawa niektórych misyj, mianowicie angielskich, zabraniająca, w duchu istotnego i zdrowo pojętego chrystyanizmu, wnoszenia skarg i żądania odszkodowań— pozostaje martwą literą.

Nie dotykając działalności politycznej niektórych misyj, wykazuje, że jeśli tylko weźmiemy pod uwagę ich nieprawe częstokroć postępowanie przy nabywaniu gruntów pod budowę domów i świątyń, lekceważenie zwyczajów chińskich, wykroczenie przeciw ceremoniałowi chińskiemu, to już dostatecznie zrozumiemy, jak wiele z tego powodu wytworzyć się mogło niechęci w mieszkańcach Państwa Niebieskiego.

KRONIKA.

Żywy obraz. Na uroczystości otwarcia i poświęcenia gmachu Towarzystwa sztuk pięknych, nadworny malarz króla pruskiego, p. Fałat, znieważył czynnie nadwornego malarza króla pruskiego, p. W. Kossaka. Gdyby ten gorszący wypadek zdarzył się w miejscu prywatnem, pozostawilibyśmy go w księdze osobistych wspomnień jego uczestników. Ale ponieważ panowie artyści uznali za właściwe ozdobić takim żywym obrazem nasz nowy przybytek sztuki, więc pozwolimy sobie podpisać pod nim kilka pytań. Mianowicie, dlaczego pp. Fałat i Kossak, mieszkając w Krakowie i mając tam wiele sposobności do wszelakich spotkań, tu, w Warszawie, jako nasi goście, podczas uroczystego obchodu, załatwili brutalną awanturą swoje honorowe rachunki? Dlaczego obaj, polerując się tak długo w etykiecie, nie przyswoili sobie form grzeczności? Wreszcie pytanie prostej ciekawości: dlaczego ci panowie, odbierając wawrzyny, łaski i zaszczyty z tej samej ręki, nie zharmonizowali swych uczuć wzajemnych w ścisłej przyjaźni? Czyżby właśnie dlatego?

Wiadomości społeczne. *Prawit. Wiest.* na mocy danych statystycznych za lata 1895—96 wykazuje, że w okręgu warszawskiej izby sądowej w ciągu tych lat trzech sądy skazały 2.556 małoletnich, z których 2,301 kwalifikowało się do przytułków poprawczych. Ponieważ kolonia w Studzieńcu może pomieścić tylko 170 wychowańców, a przytułek w Puszczy dla dziewcząt 50, tj. razem 220, czyli 10% skazanych, więc reszta nieletnich przestępców dostała się do więzienia. W moskiewskim okręgu sądowym do przytułków poprawczych dostaje się 32% skazanych, w petersburskim 18%, w kazańskim 15%, charkowskim 14%, saratowskim 13%, odeskim i kijowskim 10%.

— W Kurytybie, w Brazylii, z inicyatywy redaktora *Prawdy* parańskiej, J. Okołowicza, przy Muzeum parańskiem ma być utworzony dział polski. Inicyator zwraca się za pośrednictwem prasy do społeczeństwa polskiego w kraju macierzystym z prośbą o nadsyłanie obrazów, portretów znakomitych mężów, fotografij typów ludowych, widoków miast i gmachów, starych monet i medali polskich. Wszystkie przedmioty w trwałych, mocnych skrzynkach wysyłać należy pod adresem: Museu Paranaense (Parana Secçao Polaca) Curityba, Parana, Brazil. Koszty transportu i cła opłaci rząd parański.

Szkoły. Z Kleczewa piszą do *Gaz. Kal.*, że potrzebny tam jest pensyonat żeński. Zapewniają, że doznałby on poparcia i mógłby posiadać 40 do 50 uczennic. Bliższych informacyj udziela p. Wróblewski w Kleczewie.

—W Warszawie w r. b. czynnych jest szkół miejskich (według praw z 1872 r.), trzyklasowych dwie z 380 uczniami, jedna 4-klasowa z 275 uczniami, jedna 6-klasowa z 310 uczniami. Szkół początkowych (według praw z 1874 r.) męzkich 104, do których uczęszcza 5,018 dzieci, żeńskich 44 z liczbą uczennic 1890. Do 44 szkół rzemieślniczo niedzielnych, uczęszcza w r. b. 2,318 uczniów.

Zdrowie publiczne. Pp. W. Lasocki, K. Chełchowski, A. Kosiński, M. Górski i M. Janowski wystąpili do ministeryum skarbu z prośbą o zatwierdzenie ustawy Towarzystwa akcyjnego zakładu leczniczego „Nałęczów.“ Kapitał zakładowy Towarzystwa oznaczono na 250,000 rub. w akcyach po 250 rubli. Na siedzibę zarządu wybrano Warszawę.

Sprawy rzemieślnicze. W Towarzystwie petersburskiem popierania przemysłu i handlu sekcya rzemieślnicza opracowała projekt sądów rzemieślniczych, na wzór istniejących już w Europie zachodniej. Ostatni zjazd rzemieślników w Petersburgu wprowadzenie takich sądów w Państwie uznał za rzecz bardzo pożądaną. Według projektu ma wejść do nich po pięciu członków (prezes, obowiązkowo prawnik, mianowany z urzędu, dwóch majstrów i dwóch czeladników wybieralnych); sądy te roztrząsać będą sprawy, wynikające ze stosunków rzemieślniczych między majstrami, czeladnikami i uczniami. Procedura ma być jaknajmniej skomplikowana. Instancyą apelacyjną ma być zjazd sędziów pokoju.

Odpowiedzi Redakcyi.

Tęsknicowi. Urywek mglisty i pod względem literackim bardzo słaby. Zwracamy uwagę na wadliwą polszczyznę (werstwa, przymanić itp.), nad którą przedewszystkiem należy popracować.

Panu Gust. Ad. B. Rozbicki się kłania.

Panu H. M. Postaci nieciekawe i nieżywe nie budzą ani współczucia, ani zajęcia. Za wiele zdrad, okropności, a zwłaszcza listów i „dolatywań.“ Dyalog bezbarwny i niezręczny brzmi fałszywie. Język pospolity.

S. S. M. w Olk. Bez wartości.

W. K. „Ten, kto wierzy w swoje siły, jest potężny. Kto tę wiarę stracił, ten jest niedołężny.“ — Wiersz stanowczo temu przeczy.

Panu Napoleonowi Rouble. Prosimy o przysłanie adresu dla odpowiedzi listownej.

Panu Al. Sek. w Warszawie. Nieporozumienie zaszło wskutek nieuważnego czytania. Cytata o „prawdzie przeciętnej“ wyjęta jest z książki Ig. Matuszewskiego (*Swoi i obcy*), o której dalej się wspomina.

OGŁOSZENIA.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

dodaje w r. 1901 prenumeratorom (bez żadnej dopłaty)

12 tomów pism H. Sienkiewicza

zawierających między innymi „QUO VADIS."

W Tygodniku illustrowanym ukażą się:

K. Tetmajera powieść „Panna Mery."
E. Orzeszkowej nowela „Z różnych dróg."
W. Sieroszewskiego powieść „Jang-Hun-Tsy."
H. Sienkiewicza i Bol. Prusa najnowsze wielkie powieści.
T. T. Jeża „Od kolebki przez życie," pamiętnik.
Pamiątki Warszawy, Krakowa oraz polskie pamiątki w Paryżu i Wersalu — z licznemi illustracyami.
W dodatku arkuszowym: najlepsze powieści zagraniczne.

PRENUMERATA „Tygodnika Illustrowanego" wynosi w Warszawie: rocznie rb. 8, kwartalnie rb. 2; z przesyłką rocznie rb. 12, kwartalnie rb. 3. Oprawa 12 tomów Sienkiewicza rb. 2.

Komplet 24 pierwszych tomów Sienkiewicza rb. 10, w oprawie rb. 14.

Adres redakcyi „Tygodnika Illustrowanego": **Krakowskie-Przedmieście 17, w Warszawie.**

Z cyklu Wydawnictw naukowych „Wiedza i życie" opuścił prasę nowy tom:

ZOLA i NATURALIZM D-ra G. PIOTROWSKIEGO.

Przedtem wyszły:

Sizeranne Robert. Ruskin i kult piękna, 2 tomy.
Mosso An. Fizyczne wychowanie młodzieży.
Ernst Dr. M. O. O przyrodzie planet.
Przewóski Ed. Krytyka literacka we Francyi, 2 tomy.
Le Bon G. Psychologia tłumu.
Nusbaum Dr. J. Z zagadnień biologii i filozofii przyrody.
Kulpe O. O zadaniach i kierunkach filozofii, 2 tomy.

Pod prasą: NUSBAUM Dr. J.: *Z zagadek życia* (Szkice i odczyty z dziedziny biologii).

Skład główny w Księgarni **E. Wende i Sp. w Warszawie.**

Cena każdego tomu 60 kop.

L. Tołstoja „ZMARTWYCHWSTANIE"

w przekładzie **St. Stempowskiego.**

Trzy części w dwóch tomach. Cena 75 kop. Skład główny w Administracyi „Prawdy." — Do nabycia we wszystkich księgarniach.

GAZETA POLSKA

Daje wszystkim swoim prenumeratorom w r. 1901

jako bezpłatne premium

pomnikowe dzieło,

p. t. „Historya XIX stulecia"

(blizko 3,000 illustracyj.)

Dzieło to prenumeratorzy „Gazety Polskiej" będą otrzymywali w formie zeszytów albumowych, stanowiących bezpłatne Dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej".

„Historya XIX stulecia" z 3,000 illustracyi wychodzić będzie we wspaniałem wydaniu, na welinowym papierze w formie wielkiej 8-ki, z pięknemi illustracyami, z tekstem opracowanym świetnem piórem Józefa Tokarzewicza (Hodiego), przy współudziale grona specyalistów. Obejmie ono wszystkie objawy życia upłynionego wieku: wojny i dyplomacye, wynalazki i udoskonalenia techniczne, podbój innych części świata przez Europę, rozwój pojęć filozoficznych i historyę nauk, literaturę, sztukę i muzykę, przemysł i handel, obyczaje mody i t. d. Wszystko, czemkolwiek ludzkość interesowała się w ciągu tego stulecia, wszystko, co osiągnęła, odbije się na kartach tego dzieła w świetnych opisach i doskonałych illustracyach, a na rzeczy polskie zwrócona będzie szczególna uwaga.

Cena Gazety Polskiej wraz z „Historya XIX stulecia" w bezpłatnych Dodatkach tygodniowych. **W Warszawie:** Rocznie rb. 9.60, półrocznie rb 4.80, kwartalnie rb. 2.40, miesięcznie kop. 80. — **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3

Kto nie prenumeruje Gazety Polskiej, może nabywać całość lub zeszyty „Historyi XIX stulecia" osobno; w takim razie opłata wynosi:

Cena „Historyi XIX stulecia" osobno za całe dzieło rb. 20.
" " " " osobno, w prenumeracie za zeszyt k. 25.
" " " " z przesyłką pocztową za zeszyt k. 35.

Opłacający za całe dzieło z góry nie ponoszą kosztów przesyłki.

Adres wydawnictwa „Gazety Polskiej" i „Historyi XIX stulecia" z 3,000 illustracyj:

Warszawa, Warecka 14.

NAJWIĘCEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURJER WARSZAWSKI

wychodzi codziennie, w dni powszednie wieczorem, a w Niedzielę i Święta rano

Nadto wychodzą stale w dni powszednie

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12-tu godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych i więcej numerów głównych i 6 półarkuszowych dodatków porannych.

„KURJER WARSZAWSKI"

liczy rok 80 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści

najtańszem pismem polskiem.

WARUNKI PRENUMERATY:

(Wraz z dodatkiem porannym): w **Warszawie:** rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 k. 50, kwartalnie rb. 2 k. 25, miesięcznie kop. 75. Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. 10.

Z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3, miesięcznie rb. 1.

Za granicą: rocznie rb. 18, półrocznie rb. 9, kwartalnie rb. 4 kop. 50, miesięcznie rb. 1 kop. 50.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

Małe ogłoszenia za jeden wyraz po 3 kop. każdy raz, ogłoszenie minimum 30 kop. **Zwyczajne** ogłoszenia za jeden wiersz petitowy lub jego miejsce pierwszy raz 12½ k., każdy następny raz 10 kop. **Nekrologia:** za wiersz 20 k. **Reklamy:** za jeden wiersz garmontowy albo jego miejsce pierwszy raz 30 kop., każdy następny raz 25 kop. **Nadesłane:** za jeden wiersz garmontowy rb. 1.

Adres Redakcyi: Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Tanie wydanie dzieł Wiktora Hugo:

Pracownicy morza — 4 tomy 90 kop., w ozdobnej opr. 1,20 k., z przesyłką o 20 k. drożej.

NĘDZNICY — 10 tomów 1,80 k., w ozd. opr. 2,50 kop., z przesył. 30 k. droż.

Kościół Panny Maryi — 4 tomy 75 k., w ozdob. opr. 1,10 kop., z przesyłką o 20 kop. drożej.

Wypisujący wszystkie trzy dzieła razem wprost z księgarni nakładowej S. Bukowieckiego, Marszałkowska nr. 100, żadnych kosztów przesyłki nie ponoszą. — Księgarnia dostarcza również wszelkie książki i nuty oraz pisma peryodyczne.

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii—rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bakowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w., od r. 1800—1888** — rb. 3. k. 30.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej,** tomów dwa—rb. 2.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej,** w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

Encyklopedya dla dzieci (illustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50. Egzemplarze oprawne o 20 kop drożej.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zbrodniały** — rb. 2.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

A. Maksimow. **Syberya i ciężkie roboty,** tłom. Z. Pietkiewicz.
Część II. Winni i oskarżeni — rb. 1 k. 20.
Część III: Przestępcy polityczni państwowi—rb. 1 k. 20.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*

J. H. Tylor:

Zmyślność i moralność roślin

tłom. J. K. Potocki.

Cena w ozdobnej oprawie 1 rb. 20 k.

KWIATY SZTUCZNE

do koszów i żardinier, w wielkim wyborze poleca:

JAN BOHUSZEWICZ,

Złota 38.

Ceny fabryczne.

Zamówienia na prowincyę wysyłam za zaliczeniem pocztowem.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Декабря 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.